SOBOTA
Nr 148 20 XII 1980 Cena 1.50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Święta już za pasem, potem ferie... Ta myśl na pewno wielu spośród Was pomoże przetrwać koniec semestru: ostatnie podciąganie czwórek, trójek. No, a o dwójkach w ogóle nie chcemy myśleć... Ale choć tacy zapracowani, znerwicowani, przemęczeni znajdźcie – prosimy – choć chwilę czasu, by poszaleć na śniegu, czy pójść na spacer. Bo taki „oddech" już, zaraz – naprawdę się Wam należy!

Fot. J. Dąbrowski

Gdyby ode mnie zależało

ŻEBY WSZYSCY BYLI RÓWNI SOBIE...

W szkole nr 95 w Krakowie od początku nauki nasza klasa uznana jest za najgorszą w szkole. Otóż nie wiem dlaczego? Może, że ciągle się bijemy? Ciągle „silni" i „najsilniejsi" chłopcy biją kogo popadnie i nagle szukają zaczepki. Np. jeden ze „słabszych" niechcący potrąci jednego z „silniejszych" lub „najsilniejszych" i zaraz pyta ten potrącony: „Chcesz dostać? ' I zawsze „słabszy" dostaje po żołądku lub twarzy. Gdyby ode mnie zależało, zmieniłbym dużo rzeczy: nie byłoby „silniejszych", „najsilniejszych" i „słabszych". Wszyscy by sobie byli równi i nie krzywdzili jedni drugich, nikt nie wyrywałby kartek z uwagami nauczycieli do rodziców.

Dobrosław Waszczyszyn (11 lat)

KODEKS UCZNIA

na co dzień czy tylko od święta

Na fali ogólnonarodowego porządkowania spraw warto by zająć się również prawidłowym funkcjonowaniem Kodeksu Ucznia w szkole. Zaczyna on bowiem porastać pleśnią obojętności; ożywa jedynie w trakcie oficjalnych wystąpień dyrektora szkoły, na apelach, uroczystościach, gdzie wypadało wesprzeć się na czymś oficjalnym, formalnym, a groźnie brzmiącym. Kodeks wrósł w dekorację szkoły. A nie o to chyba chodziło?

Kodeks różnie został przyjęty w szkołach. I to przez obydwie strony: uczniów i nauczycieli. O ile ci pierwsi wiązali z tym faktem nadzieje, o tyle wśród nauczycieli nie ma jednomyślności. Część pedagogów widzi w Kodeksie instrument wychowawczy, ale istnieje też część niezauważająca go w ogóle. We wzajemnych sporach uczniów i nauczycieli poszczególne rozdziały stanowią często barykady dla poszczególnych racji. Uczeń palcem wręcz wskazuje na swoje prawa, nauczyciel stopuje go obowiązkiem. I jest to właściwie dyskusja, z której nic nie wynika. Oprócz jednego: obustronnego zawodu. A cel przecież jest jeden: wychować mądrego człowieka.

Tomasz Grużewski Białystok

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW

KONKURS KONKURS KONKURS

Podajcie imię i nazwisko tego muzyka. Na kartki pocztowe z prawidłowymi rozwiązaniami czekamy do 15 stycznia 1981 r.

Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy 10 płyt długogrających.

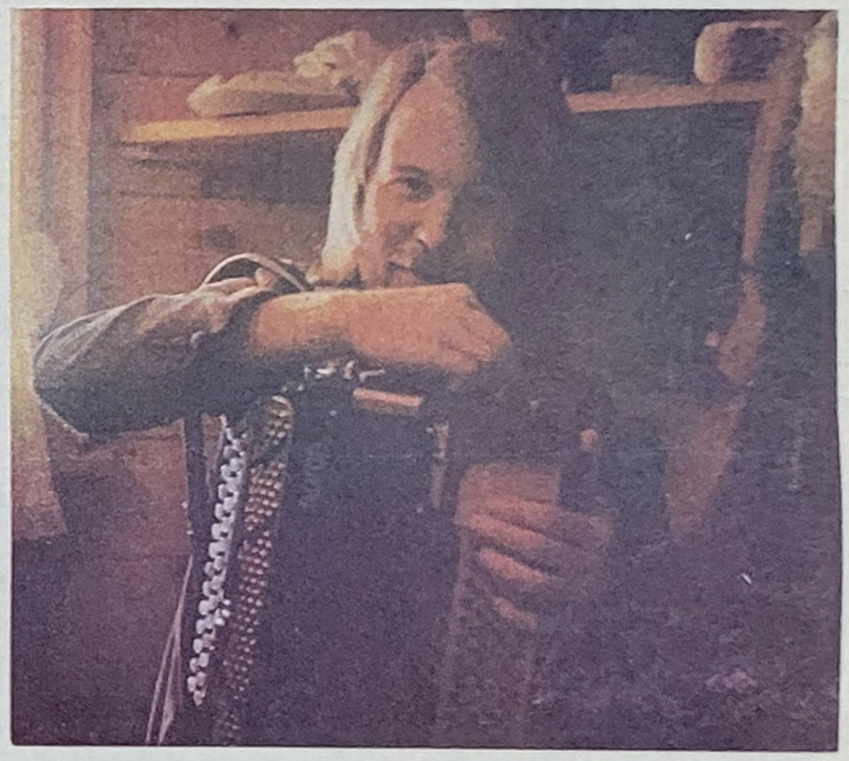

Kto będzie gospodarzem Igrzysk Olimpijskich '88?

ZADECYDUJE SESJA MKOL

Wiadomo już, że kolejne igrzyska odbędą się w Sarajewie (zimowe) i w Los Angeles (letnie). Ale w dalszym ciągu nie wiadomo jaki kraj podejmie olimpijczyków roku 1988. W dniu 30 listopada upłynął termin nadsyłania zgłoszeń kandydatur miast ubiegających się o organizację zawodów. O zimowe igrzyska wystąpiły: Cortina d'Ampezzo (Włochy), Falu-Aare (Szwecja) i Calgary (Kanada), zaś o letnie ubiegają się Nagoya (Japonia) i Melbourne (Australia). Warto dodać, że dodatkowe zgłoszenia wpłynęło również z Grecji. Narodowy Komitet Olimpijski tego kraju zaproponował, nie po raz pierwszy zresztą, aby igrzyska rozgrywać w przyszłości tylko na jego terenie. Sesja MKOl, która obradować będzie jesienią przyszłego roku rozpatrzy wniosek Greków i podda pod głosowanie sprawę umiejscowienia kolejnych swoich imprez. Niewykluczone, zwłaszcza wobec obecnie panujących rozdźwięków lokalizacji olimpiad, że projekt grecki znajdzie zastosowanie. **(zp)**

Trzęsienie ziemi we Włoszech

TRAGEDIA OSIEROCONYCH DZIECI

(PAP). Liczbę sierot, które pozostały bez opieki i dachu nad głową w wyniku ostatniego trzęsienia ziemi we Włoszech, ocenia się już na ponad tysiąc. Jest wśród nich kilkanaście noworodków, które katastrofę przeżyły w inkubatorach, w szpitalach położniczych. Ich tragedia jest tym większa, że władze nie są w stanie ich zidentyfikować, co oczywiście uniemożliwia jakiekolwiek poszukiwanie rodziców czy też krewnych.

Tymczasem władze objętego trzęsieniem ziemi rejonu Włoch coraz częściej otrzymują informacje o znikaniu dzieci z zagrożonych terenów. Bezdomne, samotne, bezradne – zabierane są przez różnych przyjeżdżających do miejsc tragedii ludzi, zarówno osoby prywatne, jak i różnego rodzaju organizacje charytatywne, których intencje są bardzo szlachetne. Ponieważ jednak dzieci zabierane są spontanicznie, bez załatwiania formalności czy informowania władz i nie wiadomo na dobrą sprawę co się z nimi dalej dzieje, istnieją obawy, że niektóre z nich są porywane w celu sprzedania ludziom pragnącym adoptować dziecko. A takich ludzi jest we Włoszech moc. W samym tylko Neapolu trzeba aż pięć lat czekać na adopcję dziecka...

(kl)

Fot. CAF

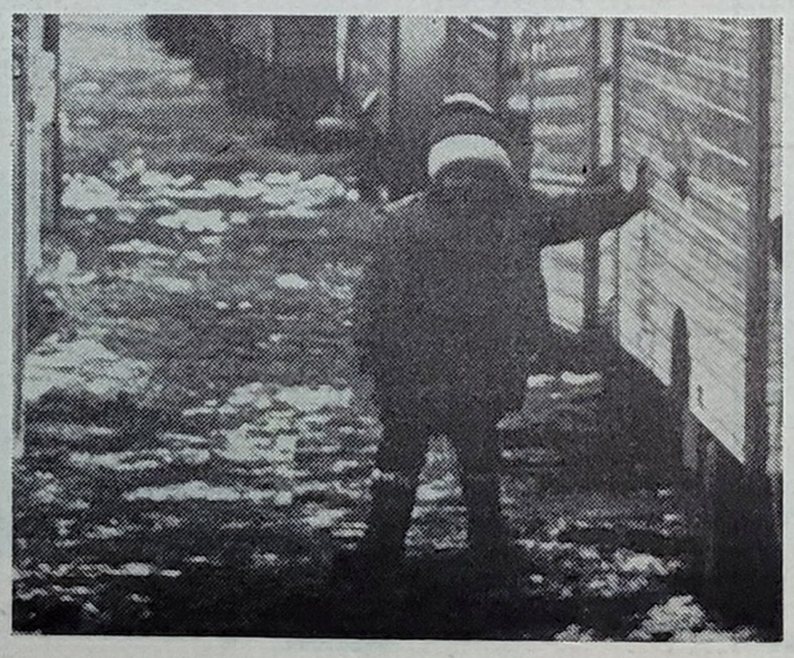

Planowana rzeź – smutną koniecznością

SŁONIE NARUSZAJĄ RÓWNOWAGĘ EKOLOGICZNĄ

W. BRYTANIA (PAP). W przyszłym roku w Zimbabwe trzeba będzie zastrzelić aż 1000 słoni. Taka rzeź zwierząt budzi oczywiście protesty, ale niestety jest konieczna ze względu na zachowanie równowagi ekologicznej. W ostatnich latach w słynnym parku narodowym Zimbabwe – Wankie liczba słoni wzrosła do 19 tys. Taka masa zwierząt wyniszcza w błyskawicznym tempie roślinność na olbrzymich obszarach. Trzeba więc temu przeciwdziałać.

Prawdopodobnie przyczyną nagłego nadmiernego „przybywania" słoni jest susza nawiedzająca regularnie okoliczne obszary. Przed nią bowiem, w poszukiwaniu wody i pożywienia, zwierzęta uciekały i trafiały do parku Wankie. **(kl)**

Nowość w amerykańskich domach

ZIMĄ CIEPLEJ, LATEM CHŁODNIEJ I... NIE PŁOWIEJĄ MEBLE DZIĘKI FOLII „SOLAR-X"

USA (PAI). „Solar X" – to folia izolująca zakładana na szyby, posiadająca zdolność odbijania 80 proc. promieniowania, przy zachowaniu dużej przejrzystości. Folia filtruje 97 proc. promieniowania ultrafioletowego, zapobiegając płowieniu mebli i tkanin. „Solar X" zawiera warstwę materiału nie przepuszczającego ciepła – zarówno od zewnątrz, jak od wewnątrz. Badania wykazują, że dzięki tej folii zyskuje się dodatkowe 3 stopnie ciepła w zimie, a w lecie unika ośmiu. Folia jest samoprzylepna i w sprzedaży znajduje się w dwóch barwach: srebrnej i złotej. Dodatkową jej zaletą jest jednostronna przezroczystość. Metr kwadratowy folii kosztuje około 45 dolarów.

Produkcja 1 300 000 rocznie!

POLSKIE PIŁKI NA BOISKACH ŚWIATA

(Inf. wł.). Zakłady w Bytomiu, Krośnie i Strzyżowie podległe zjednoczeniu „Polsport" produkują rocznie 1 300 000 piłek przeznaczonych do gry w piłkę nożną, ręczną, siatkówkę i koszykówkę. Polskie piłki są chętnie kupowane przez duże sklepy z artykułami sportowymi w Szwecji i Danii, które umieszczają na nich swoje pieczątki z napisem „Proved by FIFA". Oznacza to, że taką piłką można rozgrywać wszelkie turnieje międzynarodowe i mistrzostwa świata.

ALARM W SPRAWIE lektur szkolnych

W 139 numerze „Świata Młodych" zamieściłam apel o nadsyłanie listów w sprawie lektur szkolnych. Postawiłam trzy pytania i zapowiedziałam, że wszystkie listy i opinie uczniów i nauczycieli, jakie nadejdą do redakcji – po wykorzystaniu niektórych z nich w gazecie – przekażę do Ministerstwa Oświaty i Wychowania.

Pierwsze listy już przyszły. Dziękuję ich autorom: nauczycielom, bibliotekarkom, uczniom. Wszystkie listy – zgodnie z obietnicą trafią do Ministerstwa Oświaty i Wychowania. Kilka z nich możecie dziś przeczytać.

Chyba warto zastanowić się nad propozycją „Czternastolatki ze Słupska"? Opinię jej potwierdza list „Uczennicy LO z Piły".

A. GRZYBOWIECKA

„Chłopców ze Starówki" czytaliśmy na głos

Dziękuję, że zainteresowaliście się sprawą lektur! Jest to po prostu makabra. Chodzę do klasy VI. Niedawno przerabialiśmy na lekcji lekturę pt. „Samotny biały żagiel". W. Katajewa. Na całą klasę (34 osoby) były 4 książki! Wszystkie były bardzo stare, znalezione gdzieś na strychu i w piwnicach.

„Chłopców ze Starówki" czytaliśmy na głos w klasie, ale ile lekcji przez to zmarnowaliśmy! W księgarniach półki zawalone są książkami, ale nikt ich nie kupuje. Przecież zamiast tych książek byłoby tyle lektur oraz podręczników szkolnych! Sytuacja z podręcznikami przedstawia się tak samo. Na całą moją klasę jest 5 ćwiczeń do geografii...

Kaśka z Gdańska

Dlaczego wszystkie klasy przerabiają w tym samym terminie?

W bibliotekach szkolnych lektur już nie ma na kilka, a nawet kilkanaście tygodni przed terminem ich przerabiania. W księgarniach pokazują się one raz na dwa lata, ale i tak sprzedawane są „spod lady". Wobec tego faktu trzeba się zapisywać do innych bibliotek w mieście. Niestety, w innych też często brakuje. Niektórzy mają swoje własne, lecz tych jest bardzo niewiele. Książki te przechodzą z rąk do rąk. Trzeba je sobie „zamówić". Sytuacja ta zaistniała chyba dlatego, że przeważnie wszystkie klasy w większości szkół przerabiają te lektury w tym samym terminie. Sytuacja taka jest dogodna dla nauczycieli, bowiem przygotowują lekcję dla kilku klas naraz.

My, uczniowie, naprawdę nie wiemy, co robić w takiej sytuacji?! Myślę, że w szkołach klasy powinny przerabiać lektury w różnych odstępach czasu; np. klasa VIII d we wrześniu, VIII a np. w grudniu, itd. Tymczasem uczniowie którzy nie przerabiają tej samej lektury co klasa VIII d, przerabiają inną. Myślę, że ten sposób byłby chyba dogodny dla nas, uczniów.

„Czternastolatka ze Słupska"
Fot. **CAF**

A w księgarniach też – nie ma!

Nasza pani od języka polskiego kazała przeczytać nam lekturę pt. „Samotny biały żagiel" i „Kordzik". Najpierw czekaliśmy, aż skończy się remont naszej biblioteki szkolnej, a gdy ją otworzono, okazało się, że nie ma prawie żadnej lektury dla klas od V do VIII. A więc starałam się o te książki bardzo długo. Chodziłam do koleżanek z siódmych i ósmych klas, ale i one nie miały. Zapisałam się do biblioteki publicznej, tam również nie było lektur do szóstych klas. A księgarnie „Domu Książki" były w zupełności ogołocone z tych książek. Nie mamy możliwości czytania lektur...

Małgosia z Gdańska

Pół biedy, gdy lektura jest cienka

Ostatnio kilka klas trzecich (w szkole jest sześć równorzędnych) prawie jednocześnie przerabiało „Chłopów". Panie bibliotekarki wypożyczały tylko po 2 tomy. Niektórym osobom dostały się pierwsze dwa innym – dwa ostatnie. Pozostali byli bez lektury. Ci pierwsi mieli co czytać; drudzy mogli się cieszyć widokiem III i IV tomu, bo niepodobna było czytać książki od połowy; pozostałym osobom (bez lektur) poradzono udać się do innych bibliotek, ewentualnie pożyczyć od znajomych. W tej grupie młodzieży znalazłam się m.in. ja. Zaczęłyśmy z koleżankami „szukać" po bibliotekach miejskich, a potem po znajomych. W bibliotece wojewódzkiej te egzemplarze, które były, zostały wypożyczone. W filii nr 2 znowu informacja: „nieczynna". Zostało ostatnie wyjście – znajomi. Na szczęście udało mi się zdobyć lekturę, a moim koleżankom, niestety nie. Właściwie nie ma co się dziwić, bo skąd mieszkańcy mają wziąć książki, skoro w dwóch, jedynych na terenie miasta księgarniach, ich nie ma? Jeszcze gdy lektura jest dość cienka, to wtedy – bez problemu, można ją szybko przeczytać i pożyczyć koleżance lub koledze.

Uczennica Lic. Ogólnoksz. z Piły

„Mitologia" spod lady a przecież makulaturę oddajemy...

Pierwsza lektura, jaką mieliśmy przerabiać to była „Mitologia" Parandowskiego. Profesor języka polskiego z góry nas przestrzegł, że będą kłopoty z przeczytaniem, ale trzeba być samodzielnym; oto recepta. Na szkolną bibliotekę nie można liczyć, gdyż zawiera głównie książki o tematyce rolniczej, są to w dodatku książki przestarzałe, nieaktualne (poza nielicznymi nowościami), nie przedstawiają więc dla uczniów szkoły rolniczej, której jestem uczniem, większej wartości. Te nieliczne które są, zostają wypożyczone przez tych, którzy okażą się szybsi, a w końcu ktoś musi być ostatni. „Mitologię" z trudem pożyczyłem właściwie „spod lady" w bibliotece wojewódzkiej i to przypadkiem mi się udało. Największe kłopoty wyrosły wraz z lekturą-widmem „Antygona" Sofoklesa. Mówię widmem, bo książek tych w klasie na 33 uczniów nie ma więcej jak dwie. Właściwie nie znalazłem rady na ten problem, bo ani w bibliotece wojewódzkiej, ani w bibliotece szkolnej nie „zastałem" tej książki, więc pożyczyłem książkę od kolegi i zrobiłem sobie recenzję do „Dzienniczka lektur", niestety z tego muszę korzystać. Nie wyobrażam sobie, jak zrobię sobie konspekty, jeżeli przyjdzie mi przeczytać jeszcze o wiele obszerniejsze „unikaty". Kłopoty z książkami dotyczą nie tylko lektur, ale również książek przedmiotowych, ja nie mam np. książek do chemii, polskiego, niemieckiego, P.O. i dziwię się, dlaczego dla nas brakuje książek, przecież co roku oddajemy makulaturę...

St. Dłuski
Dębowiec

Nasza Czytelniczka,

Lila Chwistek

pisze z Urugwaju:

LATO ROZPOCZYNA SIĘ W GRUDNIU

W Montevideo jestem z rodzicami od ośmiu miesięcy. Mój tatuś pracuje w ambasadzie. Mam trzynaście lat i chodzę do szkoły urugwajskiej. Obowiązuje tu mundurek szkolny. Przed każdą szkołą państwową (są też i szkoły prywatne) wisi flaga narodowa. W szkole nie ma szatni ani stołówki. W czasie lekcji nie wstaje się do odpowiedzi. Ponieważ Urugwaj leży na półkuli południowej, lato mamy w grudniu, styczniu, lutym i marcu (odwrotnie niż w Europie). Rok szkolny rozpoczyna się 17 marca, a kończy 30 listopada. W czasie wakacji nie organizuje się kolonii, ani obozów. Uczniowie pozostają w mieście i jeśli chcą, mogą pracować zarobkowo: dwie godziny dziennie (dotyczy to uczniów 12–14 letnich) a starsi 6 godzin dziennie. Ta praca to: pilnowanie dzieci, pomoc w restauracji, roznoszenie mleka, pakowanie zakupów w sklepie itp.

W grudniu 1980 r. rozegrany zostanie w Montevideo turniej w piłce nożnej o Złoty Puchar („Copa de Oro"). Odbędzie się on w 50-tą rocznicę pierwszych mistrzostw świata, które miały miejsce w tym kraju. W tej imprezie wezmą udział byli mistrzowie świata: Urugwaj, Brazylia, Argentyna, Holandia RFN. Zabraknie tylko Anglii. W lutym br. rozpisany był konkurs na maskotkę imprezy. Wybrano taką: (rys.).

Dla wszystkich czytelników „Świata Młodych" przesyłam serdeczne pozdrowienie ze słonecznego Urugwaju.

PRAWDA O KARATE

W 135 numerze „ŚM" znalazłem bardzo ciekawy artykuł pt. „Dżudo, karate, aikido i kendo czyli filozofia mnicha Bodhidarmy". Sądzę, że tę tematykę powinno się rozszerzyć, gdyż w Polsce wie się jeszcze bardzo mało na temat walk wręcz. Chodzi mi tu głównie o karate, kung-fu czy dżudo. Sam uprawiam karate i wiem ze swego doświadczenia, że ludzie nie orientujący się w całej sprawie sądzą, iż człowiek, który zna karate umie się rozprawić z wieloma przeciwnikami wychodząc z opresji bez szwanku. Tak nie jest i moim zdaniem trzeba ich przekonać o prawdzie jaka jest zawarta w sztuce walki. Przecież chcąc naprawdę opanować tę sztukę, trzeba kilku lub kilkunastu lat mozolnej i monotonnej nauki. W końcu nie po to ktoś się uczy walki, by wyjść na ulicę i bić się ze swoimi przeciwnikami (mam na myśli prawdziwych uczniów lub nauczycieli, którzy czują się karatekami czy dżudokami, a nie tych, co pochodzą na zajęcia miesiąc lub dwa i uważają, że są najlepsi i nikt im nie sprosta, bo znają dżudo czy karate). Dlatego sądzę, że dalsze artykuły o tej tematyce są wskazane, gdyż tak mało prawdy czyta się o tych sportach. To, co się ogląda w kinach o wojownikach, którzy w pojedynku rozprawiają się z kilkunastoma przeciwnikami, mnie osobiście śmieszy, nie dlatego, że jest to nierealne, ale po prostu sposób przedstawiania jest śmieszny.

Krzysztof Marzecki
z Lęborka

REDAKCYJNA POCZTA

Mała Żabcia, Elza – jak kluska i Filomena z piłeczką

Piszę w sprawie listu zamieszczonego w 140 nr „Świata Młodych" pt. „Czy ten człowiek postąpił po ludzku". Po przeczytaniu tego listu byłam wstrząśnięta i jednocześnie zdziwiona, ż mogą żyć tacy ludzie na świecie. Nie mam słów na wyrażenie mego oburzenia na postępek tego kierowcy. Jak można w ten sposób traktować bezbronne zwierzę.

Skończyłam 13 lat, chodzę do VII klasy i mam w domu 2 koty (Elzę i Filomenę) oraz psa, który wabi się Żaba. Cały dom kocha Żabcię i ona kocha nas. Kiedy wracamy do domu, wita nas radośnie, cieszy się, łapie zębami za spodnie, ręce i zawsze chce polizać po twarzy. Nasza Żabcia ma 5 lat, ale waży tylko 1,5 kg, taka jest mała. Ma w domu swój kącik swoją miskę i swój ręcznik. Jest traktowana jak jeden z domowników.

Kotki, to matka z córką. Elzę przynieśliśmy małą, brudną i taką chudą, że ledwie stała na nogach. Teraz nasza Elza wygląda jak kluska, a jej córka Filomena ma piłeczkę ping-pongową, z którą wyprawia harce po całym mieszkaniu.

Na koniec chciałabym zaapelować do wszystkich ludzi: **„Kochajmy zwierzęta, one pomagają być lepszymi, umilają nam samotność i często są jedynymi przyjacielami człowieka".**

Monika

„Mocna dziewczyna"

Bardzo mnie interesuje judo i kendo, ogromnie chciałabym nawiązać korespondencję z kimś o podobnych zainteresowaniach. Chciałabym się czegoś więcej dowiedzieć na ten temat. Może ty „Redakcyjna Poczto", pomogłabyś mi nawiązać korespondencję, najlepiej z jakąś doświadczoną w tych sprawach dziewczyną, która ćwiczy którąś z tych dyscyplin. Proszę o wydrukowanie mojego listu. Ci, którzy chcieliby ze mną korespondować niech przysyłają listy do „RP" z dopiskiem „Mocna dziewczyna".

Małgorzata

Ja pomagam, nie zalecam się

Siedem lat chodzimy do jednej klasy. To wystarczająco długo, aby się zrozumieć i „zgrać". Okazuje się jednak, że wcale tak nie jest. Każdy dba tylko o siebie, nie stara się pomóc innym. Wśród dziewczyn panuje obrzydliwy zwyczaj plotkowania i obmawiania. Gdy chłopak pomoże w czymś dziewczynie, lub odwrotnie, zostają okrzyczani jako narzeczeni. Co za głupota. Raz pomogłam Bogdanowi (na jego prośbę) w trudnym zadaniu. Przy najbliższej okazji Violetta w obecności Bogdana oznajmiła, że zalecam się do niego. Od tego czasu wstydzę się odezwać do tego chłopaka. Dlaczego tak się dzieje? Co zrobić, żeby w naszej klasie (w opinii nauczycieli – zgranej) zmienić postępowanie koleżanek?

Marzena

KTO CHCE TRAFIĆ – TRAFIA

W numerze 134 „ŚM" obiecałam opisać wizytę jednej z Waszych koleżanek w poradni wychowawczo-zawodowej. Myślałam konkretnie o Kasi, która przysłała bardzo smutny list. Ponieważ prosiła o niedrukowanie, więc podaję treść w dużym streszczeniu: Kasia wybrała Studium Wychowania Przedszkolnego, sądząc, że to dobra szkoła dla niej, bo lubi dzieci, jest muzykalna, w szkole podstawowej uczyła się dobrze. Niestety w wybranej szkole nie potrafiła się zaaklimatyzować. Po 10 dniach zrezygnowała. Dzięki staraniom matki trafiła do drugiej szkoły, tym razem zawodówki. I historia się powtórzyła. Znów zdenerwowanie, płacz. Co robić? Czy wybrać trzecią szkołę, czy stracić rok?

Pomyślałam, że pójdziemy wspólnie do poradni, może tam Kasia znajdzie pomoc.

Rozmowa pierwsza: O STRACHU

– Do Studium było dużo kandydatów – mówi Kasia – cztery osoby na jedno miejsce. Zdałam bez problemów egzamin z w-f i wychowania muzycznego. Myślałam, że dam sobie radę. Zaczęło się od wyboru instrumentu. Nasza klasa, zgodnie z planem, miała do wyboru naukę gry na gitarze lub akordeonie. Ci, co mieli gitary podnieśli ręce, pozostali musieli kupić sobie akordeony. Skąd wziąć kilka tysięcy?

Poza tym, w klasie panował ścisk – w niektórych ławkach musieli siedzieć w trójkę. Nauczyciele „pocieszali": już niedługo będzie was mniej! Zobaczcie, w trzeciej klasie jest tylko dwadzieścia osób, a na początku było ich 42.

– Przez osiem lat zżyłam się ze swoją klasą – mówi Kasia – wszyscy się znali. W Studium wszystko było inne, nowe. Nie mogę powiedzieć, niektórzy nauczyciele podchodzili do nas z sercem, ale wielu straszyło. Zaczęły się moje kłopoty z matematyką. Nie miałam też akordeonu. Coraz częściej myślałam – chyba nie dam rady. Łzy same cisnęły się do oczu. Po 10 dniach postanowiłam – nie pójdę więcej do tej szkoły.

Została w domu, przez trzy tygodnie próbowała sama uczyć się z podręczników. Na szczęście matka potrafiła ją zrozumieć, załatwiła inną szkołę.

– Tylko na początku – przyznaje Kasia – czułam się tam źle. Wtedy właśnie napisałam list. Teraz zaprzyjaźniłam się z dziewczynami z klasy. Nie mam kłopotów z nauką. Jestem zadowolona. Może po tej szkole pójdę do technikum.

– Dlaczego nie zwróciłaś się do poradni? – pytam.

– Z naszej VIII klasy tylko sześć osób, wybranych przez wychowawcę, było w poradni. Oni mieli lepiej, bo od razu dostali skierowania do szkół, i mieli pierwszeństwo w przyjmowaniu. A ja? Nie przyszło mi to do głowy.

Teraz Kasia ma już kłopoty za sobą, nie widzi potrzeby odwiedzania poradni; idę więc tam sama.

Rozmowa druga: O TYM CO NAJWAŻNIEJSZE

W poradni pani W., trochę zaskoczona, że przychodzę bez Kasi, chętnie udziela wyjaśnień.

– Czy poradnie wychowawczo-zawodowe są dla wszystkich? Dlaczego z klasy Kasi trafiło tutaj tylko 6 osób?

– Dobrze by było objąć opieką wszystkich uczniów, ale jest to po prostu niemożliwe. Przeciętnie na jednego pracownika przypada 3,5 tys. osób. Wobec tego musimy typować tę młodzież, która najbardziej potrzebuje naszej pomocy. A więc, w pierwszym rzędzie, młodzież z grup dyspanseryjnych, czyli przewlekle chorą, kaleką, z wadami fizycznymi. Oni mają ograniczoną możliwość wyboru zawodu, nieraz doradzamy im konkretną specjalność.

– A co z pozostałymi, czy nie mają żadnych szans na pomoc poradni?

– Oczywiście, jeśli na przykład jakiś uczeń klasy ósmej jest niezdecydowany, ma problem z wyborem zawodu, może się do nas zgłosić indywidualnie. Nie zdarza się nam nikogo odesłać. Jeśli przyjdzie postaramy się mu pomóc.

– Czy w związku z realiami, to znaczy tysiącami osób przypadającymi na jednego pracownika, warto wśród uczniów reklamować poradnie?

– Reklamowaliśmy się wtedy, gdy zaczynaliśmy działalność. Teraz w zasadzie już nie musimy, bo młodzież wie o naszym istnieniu. Uczeń, który chce do nas trafić – trafia.

– Czy poradnia ma w planie swojej działalności specjalną troskę o pierwszoklasistów szkół średnich? Przecież oni trafiają do nowego środowiska, stają przed większymi wymaganiami. I, o czym świadczą liczne listy, nieraz załamują się.

– Na pewno warto się nimi zająć, ale tak samo warto zająć się uczniami klasy zerowej, ósmoklasistami, czy maturzystami. Czyli, na dobrą sprawę, wszystkimi. I my widzimy takie potrzeby, ale musimy robić to, na co nas w tej chwili stać. Wybieramy rzeczy najważniejsze, najistotniejsze. Każda sprawa sygnalizowana przez szkołę jest załatwiana.

– A jeśli szkoła nie zgłasza problemów, a sama je stwarza, na przykład straszeniem uczniów, że nie dadzą rady, że nie ma dla nich miejsca?

– Straszenie do niczego dobrego nie doprowadzi. Przecież każdy nowy uczeń przeżywa okres adaptacji. Jeśli wtedy nie spotka się z życzliwością, to zrozumiałe, że trudno liczyć na powodzenie.

– Czy do poradni trafia dużo uczniów z takimi problemami jak Kasia?

– Jest to niewielki procent. A szkoda. W wielu wypadkach młodzież nie może czekać, aż ktoś wyjdzie do niej z pomocą; na to czekają pierwszaki ze szkoły podstawowej, bo oni jeszcze nie potrafią walczyć o swoje. A piętnastoletnia dziewczyna? Przecież wiedziała, że istnieje taka placówka. Powinna się do nas zgłosić wcześniej. Nie twierdzę, że od razu wszystkie sprawy byłyby rozwiązane, ale może odwiedziny u nas by jej pomogły.

* * *

Jak z rozmowy wynika ta poradnia wychowawczo-zawodowa ma dużo pracy i sporo trudności. W innych też jest pewnie podobnie. Ale nawet, jeśli ktoś nie znajdzie się grupie dyspanseryjnej, to również może liczyć na pomoc. Nie tylko wtedy, gdy w ósmej klasie nie wie, jaką szkołę wybrać.

ANNA PACIOREK
Fot. **archiwum**

Będzie to opowieść o nadziejach i rozczarowaniach. Będzie to zatem historia prawdziwa i zwykła. Po prostu wzięta z życia. Można ją nawet nazwać banalną. Zgadzam się z tym. A jeśli coś budzi zdziwienie to tylko to, czy musiała zdarzyć się już w szkole?

Czerwony ołówek i szkolna gazetka

Wyobraźmy sobie młodego chłopaka. Skończył niedawno szkołę podstawową. Jedzie z rodzinnego Makowa do szkoły średniej, do Lubiejewa koło Ostrowi Mazowieckiej, do Zespołu Szkół Ogrodniczych.

Jechał przejęty, trochę dumny. Fajnie – myślał – będę w takiej dorosłej szkole. Zacznie się prawdziwe życie. Nauka, dużo dyskusji z kolegami, o wszystkim, o życiu, o Polsce. A nauczyciele – myślał – Mirek Szczygielski, bo o nim jest mowa – nie będą tylko belframi, zadającymi „odtąd-dotąd". Będą z nami rozmawiać, tłumaczyć, doradzać. Mądrze i po przyjacielsku. Jak wśród dorosłych. I jeszcze kołatały mu się po głowie zwroty zasłyszane gdzieś w telewizji, czy w radio „młodzież pokoleniem wielkiej szansy, przed nią porywające cele". Zdawało mu się, że przekraczając bramę szkoły i on dostanie możliwość tej wielkiej szansy. Zaraz na początku roku szkolnego zapisał się do organizacji młodzieżowej.

Po pewnym czasie w szkole zwrócił uwagę na mały pokoik. Czasem odbywały się tam zabawy. Brali w niej udział starsi koledzy z organizacji. Pili. Na uroczystym zakończeniu pierwszego roku nauki przewodniczący otrzymał książkę za owocną działalność społeczną. Nie, nie zwracał na to uwagi. Ludzie – tłumaczył sobie – są różni. Ważne jest, że nasza działalność jest pożyteczna. Wszystkiego nie da się zmienić z dnia na dzień. Czasem jeździł do Ostrołęki, do wyższego zarządu. Poważny, przepełniony ważnością misji, ruszał tam, jak po worek mądrości. Dostawał 10 egzemplarzy „Problemów współczesnego kapitalizmu". Klepano go po plecach – „No, nieźle, Mirek nieźle – wracaj do siebie i działajcie. Działajcie, czasu szkoda."

Nie bardzo wtedy wiedzieli czego chcą od starszych kolegów. Chyba chodziło im o – nazwijmy to – „zastrzyk siły przekonań", pewności; może poukładania rzeczywistosci, choćby według schematu: to jest słuszne, a to nie, to jest w porządku, a z tym walczcie. Żeby się czegoś trzymać. W odpowiedzi dostawali wezwanie do kolejnej akcji, kolejnego czynu.

Na pierwszy poszli chętnie. Trafiły do nich argumenty. Zrobili. Potem następny, następny, następny. To co powinno być normalnie wykonane, nadrabiano szturmową akcją młodzieży. Czuli, że stopniowo tracą zapał. Dlaczego?

Mirek mówi, że działo się tak, bo po tym pierwszym, udanym czynie, nikt nie przyszedł do nich nie zadał prostego ale jakże ważnego pytania: „Jak uważacie, czym powinniśmy zająć się następnym razem?"

W szkole stale były imprezy. Ważna konferencja, uroczysty apel, obchody rocznicy, sesje uczniowskie. Szum, hasła, szanowne osobistości, sztandary. Biegali wtedy, robili, starali się, mobilizowali. No dobrze, dobrze, zrobimy co chcecie – mówili im koledzy nie należący do organizacji – ale w gruncie rzeczy niewiele ich to obchodziło. Potem, gdy już było po wszystkim, słyszeli jak ktoś gdzieś chwalił się, jaką to dobrą robotę polityczną wykonano w ich szkole. A oni mieli dziwne uczucie pustki, niedosyt. Barwna feta niewiele im samym wyjaśniała, nie wynikało z niej co mają dalej robić w organizacji.

Czasem w szkole zdarzały się nieporozumienia. Przedsiębiorstwo, w którym zatrudnieni byli na zajęciach praktycznych nie dawało śniadań, choć należały im się; albo zamiast uczyć obsługi maszyn wyganiano ich w pole i kazano całymi dniami zbierać kamienie. To nie może tak być – ustalili na zebraniu – będziemy interweniować u dyrektora. Opowiedzieli wszystko, poprosili o pomoc. Ależ oczywiście – zapewniono ich serdecznie – macie rację, dyrekcja szkoły wystąpi w waszym imieniu. Mijały tygodnie. Nic się nie zmieniło. A koledzy wtedy: „No i co, nic nie załatwiliście. Po co nam taka organizacja od imprez, a jak ważna sprawa to nikt nie zwraca na nią uwagi". Gdy po kilku dniach oni z kolei prosili o pomoc, mobilizowali do akcji, napotykali na milczącą obojętność, wzruszanie ramionami.

Nauczyciele, z którymi chcieli być razem; z którymi lubili rozmawiać, bo mówili z nimi o czymś więcej niż o stopniach – opuszczali szkołę. Nie, nie wyrzucano ich. Sami odchodzili. Inni stawiali sobie tunele foliowe na nowalijki i mieli dla nich jeszcze mniej czasu.

– Patrzyłem na naszą organizację – mówi Mirek – i zauważyłem, że coraz bardziej kurczyła się grupa ludzi, którzy coś robili

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Co krok, to historia

KRAKÓW (PAP). To tutaj – w uroczych zaułkach Krakowa, wśród przyćmionych świateł kawiarni, w cieniu wiekowych zabytków, tuż obok „zapyziałego" galicyjskiego odrętwienia, rodziła się, a potem nadawała życiu ton artystyczna bohema Polski przełomu XIX i XX wieku. To właśnie wtedy przybył do Krakowa Stanisław Przybyszewski – bożyszcze artystycznej cyganerii, którego imieniem krakowskie matrony straszyły swoje dzieci, to właśnie tutaj żył i tworzył „polski Leonardo da Vinci" – Stanisław Wyspiański, a w podkrakowskich Bronowicach odbyło się wesele Lucjana Rydla z Jadwigą Mikołajczykówną, które zaowocowało pomysłem jednego z największych polskich dramatów – „Wesela". To w Krakowie, przy tzw. Królewskiej Drodze, prowadzącej od Bramy Floriańskiej na Wawel, mieści się kawiarnia „Jama Michalika", słynąca niegdyś kabaretem „Zielony Balonik"...

Nie od dzisiaj dbają krakowianie o pamiątki z tamtych lat. Na Kanoniczej – jedynej zachowanej w całości renesansowej uliczce miasta, gdzie mieściła się pracownia ojca Wyspiańskiego i jego dom rodzinny już w przyszłym roku w kamienicy pod numerem dziewiątym planuje się otwarcie muzeum wielkiego dramaturga, malarza, poety. Znajdą się tu m. in. projekty witraży, polichromii, szkice do scenografii teatralnych, a także dziecięce i młodzieńcze szkicowniki Wyspiańskiego. Pracownikom Muzeum udało się odnaleźć również słynny salonik z białego jaworu, który artysta zaprojektował dla Żeleńskich.

Prace rewaloryzacyjne trwają również w jednym z najbardziej oryginalnych zabytków Młodej Polski – domu Towarzystwa Lekarskiego przy ul. Reja. Tu właśnie znajduje się jeden z najwspanialszych witraży Wyspiańskiego „Apollo spętany", do dziś zachowały się również oryginalne meble, o których współcześni mówili, że Wyspiański, mając na uwadze podeszły wiek zasiadających na różnego rodzaju posiedzeniach profesorów, zaprojektował fotele tyleż wspaniałe, co niezwykle niewygodne. Zapobiec to miało przeciąganiu się zebrań i ukradkowym drzemkom zacnego grona. W całości zachowała się również do dziś kuta ręcznie w metalu balustrada oraz kolorystyka ścian i draperii.

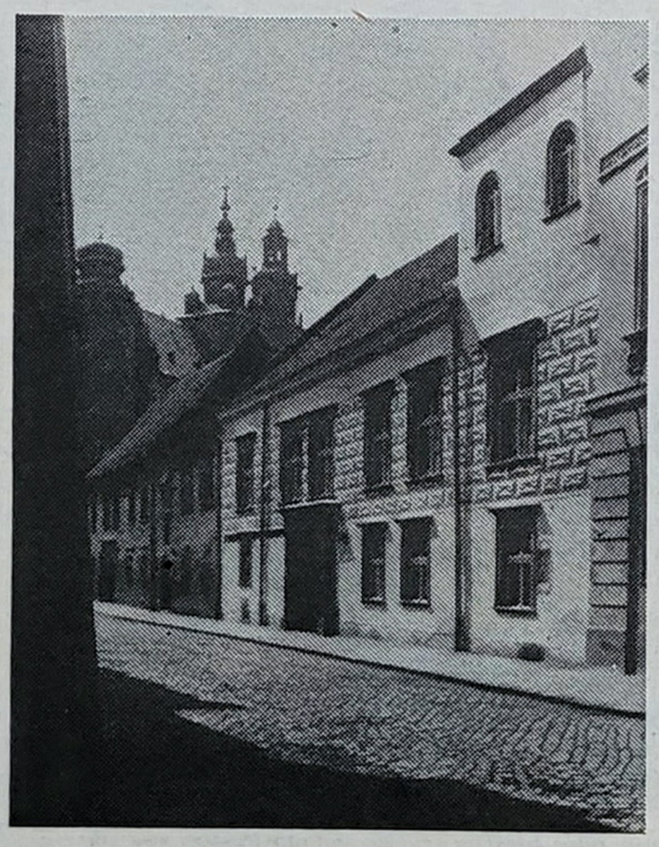

Ulica Kanonicza

Pełno młodopolskich zabytków również w Bronowicach Małych, szczególnie w muzeum – „Rydlówce", gdzie przechowuje się pamiątki po mieszkających w Bronowicach Rydlu i Tetmajerze, a także stroje i sprzęt domowy z czasów inscenizacji „Wesela". Na miejscowym cmentarzu spoczywają niemal wszyscy uczestnicy tamtej pamiętnej zabawy w dniu 19 listopada 1901 roku, a ich grobami opiekuje się słynna również poza granicami kraju Spółdzielnia Pracy Rękodzieła Ludowego i Artystycznego im. Stanisława Wyspiańskiego.

Niezmiennym powodzeniem cieszy się krakowska siedziba artystycznej cyganerii, miejsce wieczornych spotkań malarzy i poetów – „Jama Michalika", do której tłumnie wali szkolna młodzież... na lekcje literatury i historii (o czym zresztą pisaliśmy w „ŚM").

No i proszę, kto by podejrzewał, że telewizyjny serial „Z biegiem lat, z biegiem dni" rozbudzi tak wielkie zainteresowanie bohaterami Młodej Polski. A pamiątek po nich Kraków ma wiele...

(tem)
Fot. **CAF**

OBYŚ DOJEŻDŻAŁ DO SZKOŁY...

Jest godzina siódma. Na dworze jeszcze ciemno. Na termometrze temperatura 13 stopni poniżej zera. Przejmujący wiatr. Po oblodzonej szosie co kilka sekund przewalają się tumany śniegu. Przystanek PKS. Twarze czekających coraz bardziej czerwone i coraz bardziej pieką policzki od mrozu. Zacina śnieg. I znów ten uparty wiatr. Nogi powoli stają się prawie drewniane. Na chwilę kryjemy się za prowizoryczną wiatę, ale tu też wieje i wcale nie jest cieplej. Wszyscy rozcierają zmarznięte ręce, przytupują nogami. Niewiele to pomaga. Czapki naciągamy coraz głębiej na czoło, kołnierze nagle zrobiły się jakby trochę za małe. Te 13 stopni poniżej zera robi swoje.

– Jedzie – ktoś krzyczy. Tylko 15 minut spóźnienia to tak jakby przyjechał o czasie. Rozpoczyna się szturm do drzwi samochodu. Konkurencja jest duża. Kto silniejszy, ten będzie siedział. Wygrywają najstarsi, ci z „zerówki" mogą postać. Takie są już niepisane prawa codziennych dojazdów do szkoły.

Następny przystanek i podobny obrazek. Gdy dojeżdżamy, w autobusie jest już bez mała 150 osób, trochę dużo jak na jeden „San". Ciasno, duszno i zimno. Autobus nieogrzewany. Siedzą po trzy, cztery osoby na jednym siedzeniu. Szum i gwar, i płacz tych najmłodszych, a do tego jeszcze samochód warczy, brzęczy i prawie że sypie się.

– Najgorsze nam dają. Taki gruchot, na złom go, a nie na szkolne dojazdy – denerwuje się ktoś z końca samochodu.

Wreszcie docieramy do szkoły. Znowu przepychanka, byle szybciej. Tam w szkole jest już ciepło. Do rozpoczęcia lekcji pozostaje jeszcze trochę czasu. Można spokojnie porozmawiać, odrobić lekcje, których nie zdążyło się zrobić w domu, albo po prostu gdzieś w cichym kącie odsapnąć...

* * *

Zastępca dyrektora Zbiorczej Szkoły Gminnej w Piotrkowie (woj. lubelskie) – BOLESŁAW WÓJCIK sprawia wrażenie zadowolonego:

– *Sprawę dojazdów uczniów mamy dobrze rozwiązaną. Autobusy kursują w miarę punktualnie; czasami się spóźniają, ale to bardzo rzadko – dwa, trzy razy w roku. Dzieci więc nie marzną na przystankach, a autobusy są ogrzewane. Zresztą gdy coś nawali w „Pekaesie", natychmiast dzwonimy i następny kurs jest najpóźniej za godzinę. Z dojazdami mamy za to kłopoty innej natury, burzą nam życie pozalekcyjne w szkole. Trochę ci dojeżdżający są pokrzywdzeni, bo jakby wyłączeni z tego życia. Zebrania kółek zainteresowań i zbiórki harcerskie organizujemy przed lekcjami, no i inne imprezy też. Jeśli więc dzieci dojeżdżające biorą w nich udział, to przeważnie w niedziele. Wówczas rodzice przewożą i odwożą dzieci na własny rachunek.*

Znacznie mniej optymistycznie o dojazdach mówią dzieci:

LUCYNA (kl. VII): – Nie lubię szkoły, bo trzeba do niej dojeżdżać. Mieszkam w Skrzynicach, 14 km od Piotrkowa. Do przystanku, na którym zatrzymuje się autobus, mam prawie trzy kilometry, więc rano wszystko robię w pełnym galopie. Wstaję o szóstej, śniadanie jem w locie i biegnę te trzy kilometry. W autobusie siedzę, bo wsiadam na pierwszym przystanku i przeważnie dosypiam. Do kółek zainteresować nie należę, no bo jak? Zaraz po szkole mam autobus do domu, to znaczy powinnam mieć, ale autobusy często się spóźniają, a zdarza się i tak, że w ogóle nie przyjeżdżają.

ELA (kl. VI): – Wstaję o godzinie 6.30, do przystanku mam ponad 1 km przez pola. To najkrótsza droga. Jak jest na dworze zawierucha, to aż sił mi brakuje, brnąc przez zaspy. Na przystanku czekam nawet godzinę, a jeśli autobus nie przyjedzie, ale to zdarza się nieczęsto, to wracam do domu. 16 km na piechotę nie sposób przecież przejść. Nigdy w autobusie nie siedzę, bo starsi ludzie nas przeganiają. Młodym nie wolno siedzieć. Mam tego wszystkiego dosyć. Żeby była szkoła gdzieś bliżej, przeniosłabym się.

BASIA (kl. VI): – Najtrudniej jest zimą. Marzniemy na przystankach, w autobusie też zimno i do tego okropnie ciasno. Jestem pół dnia bez jedzenia. Obiady w szkole są bardzo drogie i niezbyt dobre. Nie wszystkie dzieci stać na zapłacenie za nie. Bardzo często jestem w szkole głodna.

WIESIA (kl. VI): – Najgorsze jest to, że najmłodsze dzieci płaczą w samochodzie, bo nie dość że niewyspane, to jeszcze ściśnięte przez ten tłum.

MIREK (kl. VII): – Trudne są dojazdy, bo nie mamy czasu na naukę. Gdy chodziłem do szkoły w naszej wsi, miałem czwórki i piątki, a teraz ledwie trójе. Na lekcjach nie bardzo kojarzę o co chodzi, bo drzemię i nie wiem, co pani mówi.

HENIEK (kl. VII): – Gdy wracam ze szkoły jest już ciemno, a i tak nie mam czasu za dnia na odrabianie lekcji, bo muszę pomagać mamie w gospodarstwie. Wieczorem często w elektrowni wyłączają światło, dlatego chodzę spać po godzinie 23-ej.

BARBARA (kl. VI): Różnie to bywa z kierowcami. Są tacy, którzy mijają nasz przystanek i pustym samochodem jadą dalej. Klną czasami na nas, krzyczą, że jesteśmy smarkaczami i nie mamy prawa się pchać, jak wsiadają dorośli. A przecież wiemy, że to są szkolne autobusy i że my mamy pierwszeństwo.

Rok szkolny liczy ponad 300 dni. To 600 przyjazdów i powrotów. 600 przepychań się, marznięć i spóźnień w samym tylko Piotrkowie. Ile jest ich w Polsce?

DANUTA NIEDŹWIECKA
Fot. **W. Wróblewski**

EKRAN

„TYLKO KAŚKA"

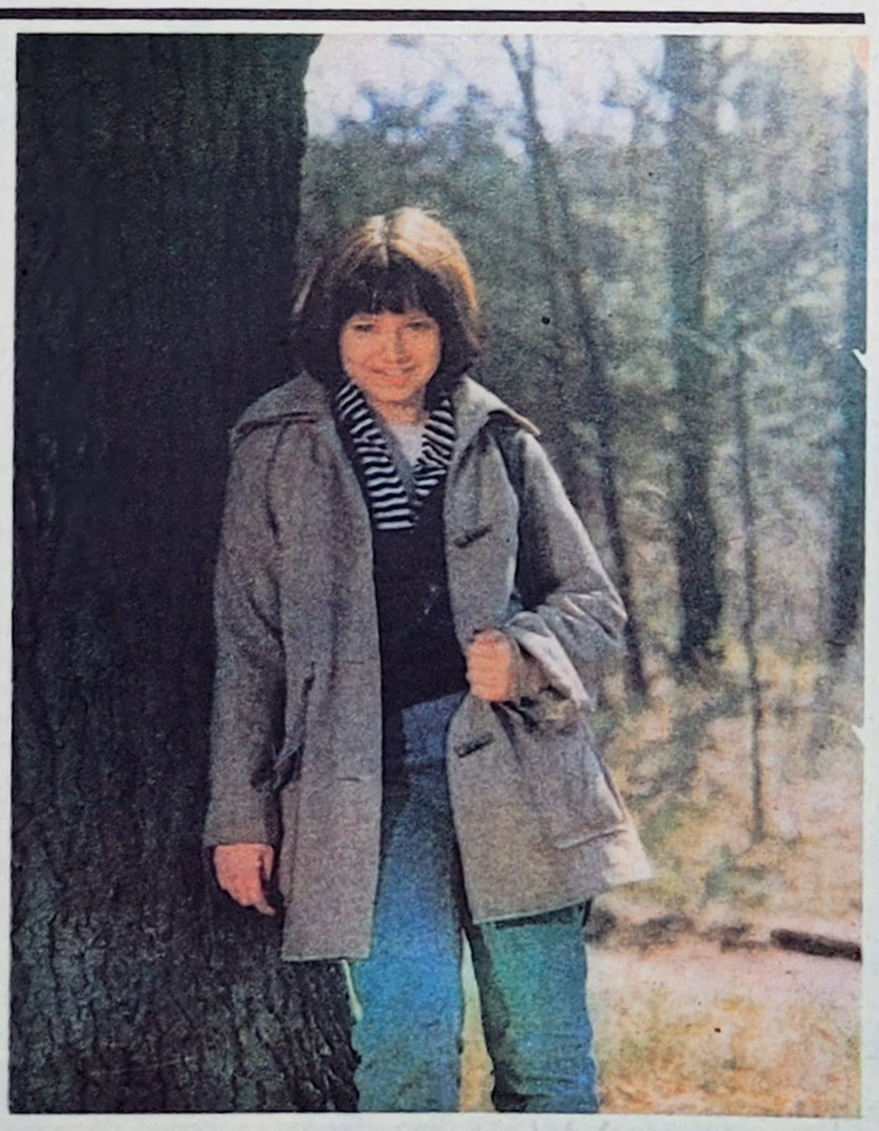

Tylko Kaśka stawiła twardy opór bandzie Łysego, demonstrującej swą siłę i bezczelność wobec słabszych. W roli głównej Katarzyna Surmiak, uczennica VII klasy szkoły podstawowej w Warszawie

Fot. **CAF**

Pod takim tytułem kryje się telewizyjna ekranizacja książki Janiny Zającówny pt. „Heca z Łysym". Reżyser tego siedmioodcinkowego serialu – Włodzimierz Haupe, sięgnął po scenariusz autorki powieści ze względu na dość typowe, a wstydliwie omijane w filmie dziecięcym zjawisko występujące w szkołach, a mianowicie przemoc wobec słabszych kolegów. Nie ma chyba specjalnego sensu przypominać treści książki, ci, którzy jej nie znają, zobaczą już wkrótce film na ekranach telewizorów, ale warto by się zastanowić nad poruszonym problemem. Jak to się dzieje, że często niewielka grupka uczniów potrafi sterroryzować dużo większą zbiorowość szkolną, wymuszając od uczniów pieniądze i rozmaite usługi, nie natrafiając przy tym na żaden opór? Dlaczego pojedyncze próby przeciwstawienia się żądaniom takich grupek nie znajdują poparcia u większości uczniów? Film podejmuje próbę dość szczegółowej analizy zjawiska, próbując dociec jak to się stało, że spośród wszystkich uczniów w szkole, tylko Kaśka, zdobyła się na odwagę, by samotnie walczyć o godność terroryzowanych kolegów. Tylko ona jedna stawiła opór, a ponieważ nikt jej nie poparł, musiała użyć sposobu dość wątpliwego z moralnego punktu widzenia. Autorzy filmu stawiają więc drugie pytanie: czy kradzież ukochanego psa przywódcy bandy – Łysemu, była rzeczywiście konieczna? Czy powód, dla którego to zrobiła, usprawiedliwiał czyn Kaśki? Czy rzeczywiście zwycięzców nikt nie sądzi? A może osądzają się oni sami, w głębi własnego sumienia?

Zapowiadając ten film, którego emisja rozpocznie się z początkiem przyszłego roku, mam nadzieję, że stanie się on początkiem dyskusji nie tylko w szkole, że spróbujecie ocenić wiele zjawisk na pierwszy rzut oka zwyczajnych i niepozornych, a dopiero gdy przyjrzeć im się dokładnie – niepokojących. **(aw)**

Czerwony ołówek i szkolna gazetka

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

z sensem, budząc żywszą reakcję, zainteresowanie, prowokując do sporu. Kończyli szkołę. Ich następców było coraz mniej. A i ci jakby mniej zainteresowali się społecznym działaniem.

Niepowodzenia sumowały się. Łączyły w ogarniające Mirka zniechęcenie. Obezwładniające rozczarowanie. I wtedy zaczęła się „Nasza Lubiejewska". Pierwszy numer napisał nauczyciel. W szkole odbywała się znów ważna konferencja. Pokazać się na niej z własnym pismem. To wyglądało dobrze. I dobrze zostało przyjęte. Jesienią 1978 r. zaproponowano Mirkowi: „Może spróbowałbyś redagować następne numery". „Czemu nie – pomyślał – pisać jest o czym. I – wyrwało mu się tak w szkolnym stylu – z polaka jestem dobry."

Uwierzył w to pismo, że będzie ich własne, uczniowskie, że korzystając z niego będą sobie mogli nareszcie podyskutować, pokazać palcem, co złe w szkole, zapytać dlaczego dzieje się tak, chociaż powinno być zupełnie inaczej. Chodziły mu po głowie różne tematy: dlaczego wokół jest tyle niesprawiedliwości, dlaczego co innego się mówi, a co innego robi, dlaczego...?

– Myślałem – opowiada Mirek – że jeśli do tej pory nie słuchano nas, machnięciem ręki kwitowano, co mówimy, to jeśli napiszemy i wydrukujemy... Byłem naiwny.

Drugi numer „Naszej Lubiejewskiej", już pod redakcją Szczygielskiego, gotów był w lutym zeszłego roku. Nie udało się go powielić. Rękopisy artykułów wywiesili w gablocie szkolnej. Trzeci numer przygotowali w kwietniu 1979. Obiecano, że zostanie powielony w Ostrołęce. Wysłali tam wszystkie materiały. Przepadły. Czwarty numer z września 1979 r. został powielony. Ojciec koleżanki odbił go „w czynie – jak mówił – za córkę" na powielaczu komitetu gminnego PZPR. Kilkadziesiąt egzemplarzy. Nie napisali w nich nic o czym by wcześniej nie mówili. Było więc o śniadaniach, których nie dostawali, chociaż im się należały; o czynach społecznych źle przygotowanych; o czynie partyjnym, do którego zagoniono młodzież, a większość nauczycieli zamiast wziąć za łopatę i dać przykład ograniczyła się do kontroli, jak pracują uczniowie.

To był skandal. Trójkę uczniów, redaktorów „Naszej" wezwano na zebranie partyjne. Nie była to miła rozmowa. Szczygielski dowiedział się, że ma się zajmować swoimi sprawami, nie wtrącać się do tego na czym się nie zna, a najlepiej niech się zajmie nauką. Ustalono, że „Nasza" ukazywać się będzie dalej, ale pod cenzurą polonistki. Każdy numer ma być przez nią przeczytany, fragmenty budzące wątpliwości trzeba zmienić albo usunąć całe artykuły.

– Przecież jest różnica – polonistka broni swojej roli – między tym, co się mówi, a tym co się pisze. W gazecie trzeba odpowiedzialnie, a nie tak jednostronnie, na hurra...

Długo jeszcze rozmawiam z nią o cenzurowaniu. Jest zdania, tak jak część dyrekcji, że wszystko co się dzieje w szkole musi być pod kontrolą. Że młodzież jest w gorącej wodzie kąpana, patrzy jednostronnie, nie rozumie. Że przecież są jeszcze władze. I gdyby np. kurator przeczytał w „Naszej", że coś tam nie jest w porządku z lekcjami polskiego, to zaraz by wszystkich na baczność postawił. I taki artykuł albo zostanie zmieniony albo w ogóle się nie ukaże. Trzeba widzieć szerzej i dalej. I rozmawiamy jeszcze o tym, że są takie tematy, na które nie wiadomo, czy młodzież powinna się wypowiadać. Nie ma doświadczenia...

– Skoro ją interesują – wtrącam.

– To trzeba przedyskutować – odpowiada polonistka – wyjaśnić czego nie rozumieją, żeby to co się ukaże w piśmie było przemyślane. I po to także jest ta cenzura.

– Ale czy wtedy będzie to ich szczera wypowiedź – nie daję za wygraną – czy nie każe im pani myśleć po swojemu?

– No, nie wiem, dużo z nimi rozmawiam.

A potem jeszcze rozmawiamy z polonistką o pewnej koferencji. Zastanawiano się jak szkoła ma wychowywać obywateli żarliwych, pełnych pasji, zainteresowań otaczających ich światem dostrzegających i walczących z tym co złe, co niesprawiedliwe.

– I na to pytanie – kończy polonistka – nie znaleźliśmy wtedy odpowiedzi.

Przeszło rok temu w „Naszej Lubiejewskiej" ukazał się artykuł. Napisali w nim. „Chcemy sami budować przyszłość. Nie znaczy to wcale, że totalnie odrzucamy rzeczywistość. Przeciwnie, chcemy by pokolenie ojców zrozumiało niepokoje naszej młodości, chęć dojścia do prawd życia własną drogą. Prosimy by nam w tym pomogło".

Redaktor naczelny „Naszej Lubiejewskiej", Mirosław Szczygielski, czyta na głos te słowa i zaczyna się zastanawiać czy nie brzmią one zbyt naiwnie, nie są zbyt jednostronne, mało odpowiedzialne...

Wkrótce ukaże się następny numer „Naszej". Ocenzurowany.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Aloi Pilioko – czołowy artysta-plastyk Oceanii pochodzi z Polinezji, z niewielkiej wioski na wyspie Wallisa

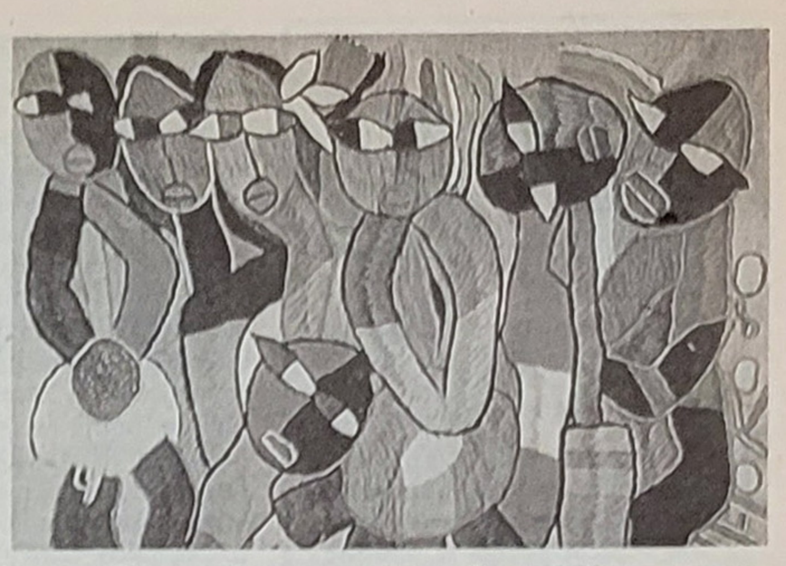

A tak przedstawił artysta – ceremoniał „kava"

Byłam przez tydzień na wyspach Oceanii – nie ruszając się z Warszawy

ALOI PILIOKO – syn dostojnego „tufungi" z wyspy Wallisa

Ojciec Aloi według Polinezyjczyków obdarzony był nadprzyrodzoną siłą. W rodzinnej wsi o nazwie Hilifu, na wyspie Wallisa, starzy mieszkańcy pamiętają jeszcze tego przystojnego, pełnego godności mężczyznę. Silinu Pilioko był dostojnym „tufungą", czyli specjalistą od budowy domów obrzędowych. Funkcja ta wymagała niemałych zdolności artystycznych, poczucia piękna i cech charakteru obcych zwykłym śmiertelnikom. Jako człowiek niezwykły, posiadał on również znajomość ceremoniału „kava". A „kava" – napój dostępny wyłącznie mężczyznom, przyrządzany z korzenia drzewa pieprzowca, od archipelagu Markizów, aż po Wyspy Salomona, jest związany z kultem przodków oraz tworzeniem braterskich związków.

– Na różnych wyspach różny jest ceremoniał przyrządzania „kava" – opowiada Mikołaj Miszotuszkin, właściciel największej prywatnej kolekcji etnografii i sztuki ludów Oceanii, prezentowanej właśnie w Warszawie. – Na Samoa na rok lub dwa wybierane są do tego obrządku młode dziewczyny, przeważnie córki dostojników plemiennych. Na wyspach Malekula natomiast mężczyźni zbierają się po południu w domu obrzędowym. Cała grupa żuje korzeń pieprzowca. Przeżuty, wypluwa się do rzeźbionego w drewnie naczynia, tzw. tanoa, dodaje wody i pije. Przyrządzaniu napoju towarzyszą wygłaszane rytualne teksty. Niektóre strofy adresowane są do przodków, których głowy przechowuje się w obrzędowych domach. „Kava" posiada właściwości odurzające, ale nie zawiera alkoholu...

– Opowiadam ci o tym, żebyś wiedziała w jakim środowisku wychował się Aloi – Mikołaj Miszotuszkin prowadzi mnie ku obrazom Aloi eksponowanym na wystawie. – Środkowy poświęcony jest właśnie ceremoniałowi „kava". Ten obok przedstawia targowisko. Spójrz na twarze dziewcząt. Widzisz na policzkach kwiatki, kropki, kreski... Na niektórych wyspach Oceanii jeszcze obecnie można spotkać taki tatuaż.

Spotkanie Mikołaja z Aloi nastąpiło w stolicy Nowej Kaledonii, w Numea. Tam właśnie w 1959 roku Mikołaj zorganizował pierwszą wystawę eksponatów zebranych na wyspie i galerię swoich obrazów. Po kilku dniach zwrócił uwagę na młodego człowieka, który zaglądał wprawdzie do galerii, ale do wnętrza nie wchodził. Tym ciekawskim młodym człowiekiem był właśnie Aloi. Intrygowały go obrazy Mikołaja bo w owym czasie nawet w Numea, dużym mieście, wystawy czy muzeum były dla tubylców czymś zupełnie nieznanym. Tak się poznali.

Wśród ludów Oceanii od prawieków zakorzeniona była wiara że w czaszce człowieka skoncentrowana jest niezwykła moc, tzw. mana. Stąd się wziął zwyczaj preparowania głów, przodków, przyjaciół, wrogów i przechowywania ich w domach obrzędowych. Ta, na zdjęciu pochodzi z Nowej Gwinei

A pewnego dnia Aloi zabrał się za rysowanie, a wkrótce potem za malowanie. Okazało się, że ma wielkie zdolności.

– W roku 1964 – byliśmy wówczas na wyspie Rotuma – wspomina Mikołaj – mieliśmy bardzo mało płótna i farb. Poprosiłem Aloi, żeby przestał malować i wszystkie materiały zostawił mnie. Sprzedaż moich obrazów stanowiła nie tylko źródło naszego utrzymania, pozwalała wędrować po wyspach, ale przede wszystkim służyła na zakup eksponatów. Aloi pozbawiony farb zaczął się niespokojnie rozglądać wokół siebie, czuł potrzebę tworzenia. Na wyspie Rotuma koprę, czyli wysuszone wnętrze orzechów kokosowych, pakuje się w worki z grubej tkaniny. I Aloi zaczął wyszywać kolorową wełną na tej workowej tkaninie. Właśnie w tej technice stworzył swój odrębny styl. W 1972 roku wysłał na wystawę do Francji jedną ze swoich prac, której francuskie ministerstwo oświaty przyznało złoty medal. Następnym sukcesem była reprodukcja jego obrazu na stufrankowym znaczku wydanym przez pocztę na Tahiti...

Aloi jest niezwykle pracowity. Wstaje bardzo rano, a dzień zaczyna od spotkania ze swoim ogrodem i zwierzyńcem. Zbiera kwiaty, karmi psy, koty, indyki, kury, morskie świnki. Potem haftuje przez wiele godzin.

Mikołaj Miszotuszkin, w rozmowie często wraca do pierwszego kontaktu Polinezyjczyka z Europą.

– Do Paryża przylecieliśmy w kwietniu – wspomina Mikołaj. Muszę dodać, że Polinezyjczycy są bardzo pewni siebie. Uważają, że ze względu na kolor skóry są wybrańcami bogów. No bo biali są „niedopieczeni", czarni „przepieczeni", a oni – smagli – w sam raz. No i Aloi już po pierwszym dniu odzywa się z nutką wyższości: cóż ten wasz Paryż... U nas, na wyspie, jak drzewo umiera, to je ścinają. A u was na ulicach same umarłe drzewa... Tłumaczę mu, że one są żywe, że straciły liście na porę zimową... Kiedy rozkwitły – Aloi przeżył szok. Drugim szokiem były spieszące się tłumy.

– Jak ryby w oceanie... Dokąd oni tak pędzą? Po co? Dlaczego są w ciągłym ruchu? Na wyspach nie ma takiego pośpiechu.

Aloi tęsknił do swojego świata, a kiedy tam wróciliśmy – odczuwał pragnienie powrotu na stary kontynent.

Aloi jest dziś czołowym artystą Oceanii. W Port-Vila na Nowych Hebrydach zwraca uwagę każdego przechodnia wspaniała fasada poczty. Monumentalna praca, około trzy na cztery metry, wykonana w ceramice, przedstawia archipelag Nowych Hebrydów w postaci... ryb. Obok druga mozaika – bazar w Port-Vila, a na niej wytatuowane dziewczęta sprzedające owoce, jak to na targowisku. Aloi ma już za sobą dziesiątki wystaw na całym świecie – kończy opowieść Mikołaj Miszotuszkin. – A według mnie, najcenniejsze w jego twórczości jest to, że wytworzył on własny styl, styl, który wyrasta korzeniami z tradycji wysp Oceanii.

WIESŁAWA MROCZEK
Fot. **autorki**

DRUGIEJ TAKIEJ NIE BYŁO I CHYBA NIE BĘDZIE (5)

Udany rewanż

Brązowy medal wywalczony na igrzyskach w Monachium był sporym sukcesem Ireny Szewińskiej. Ale też nie zaspokoił jej sportowych ambicji; pamiętajmy o tym, że dwa lata wcześniej Polka została matką i przez długi czas nie pojawiała się na bieżni. Skorzystała z tego Renata Stecher. Reprezentantka NRD nie tylko zdobyła olimpijskie „złoto" lecz również pozbawiła panią Irenę światowych rekordów. Zawodniczka warszawskiej „Polonii" nie byłaby sobą, gdyby nie próbowała dotrzymać danego w Monachium, a może jeszcze wcześniej, słowa o ataku na straconą pozycję. Przygotowywała się do konfrontacji ze Stecher długo i starannie. Już pod kierunkiem męża. W celu wzmocnienia ramion ćwiczyła ze sztangą, aż do znudzenia stawała w blokach i poprawiała tempo pierwszej fazy biegu, będącej jej dotychczasową słabością. W końcu zadowolona była i ze startu.

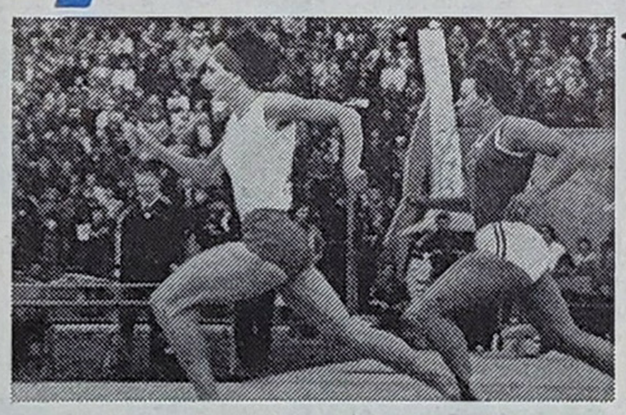

12 i 13 czerwca 1974 roku Irena Szewińska dwukrotnie pokonała Renatę Stecher. Na jej własnych boiskach, w Berlinie i w Poczdamie. Na ME także

Każdą zimę spędzała na intensywnych treningach. Za to w sezonach letnich Szewińska zadziwiała nie tylko polskich kibiców

W 1974 roku odważnie rzuciła wyzwanie rywalce zza Odry. Ba, pojechała na jej własny stadion. Pewna swego Niemka najpierw, w Berlinie, przegrała dystans 100 m. Wszyscy oniemieli również następnego dnia. 13 czerwca, w Poczdamie, Polka zwyciężyła ponownie, tym razem na odcinku 200 m, w czasie lepszym od rekordu świata – 22,0 sek! Stecher była gorsza o 0,5 sek. Mówiąc językiem bokserów – pani Irena zadała jej nokautujący cios. Początek lekkoatletycznego sezonu, czternastego już w swojej karierze, wypadł więc Szewińskiej wyśmienicie. Zwłaszcza, że okazała się doskonała i na dystansie 400 m. Już w pierwszej życiowej próbie sięgnęła po krajowy prymat – 52,0 sek., by w drugiej – rzecz wprost niesamowita – sięgnąć po prymat światowy – 49,9 sek. Poprawiła rekord Neufville (Jamajka) i Zehrt (NRD) aż o 1,1 sek. Były to sukcesy nie tylko wymierne liczbowo, ale również stanowiły zwycięstwa psychologiczne. Rywalki jeszcze raz nabrały respektu wobec warszawianki. A ona święciła triumfy jak za dawnych lat. Z mistrzostw Europy w Rzymie przywozi kolejne medale – dwa złote i jeden brązowy. Bilans sezonu: blisko pięćdziesiąt indywidualnych startów na różnych dystansach i tyleż samo pierwszych miejsc. Nic więc dziwnego, że w ankietach i plebiscytach została ogłoszona najlepszym sportowcem świata 1974 roku. Dostąpiła tego zaszczytu jako pierwsza z naszego kraju.

Sława jest przyjemna, ale wyczerpująca. Z Szewińską chcą rozmawiać nie tylko reporterzy. Zapraszają ją na spotkania kibice, proszą o autografy zwykli przechodnie. Nikomu nie odmawiała niczego i chyba z tego powodu nie miała czasu nawet na pójście do teatru. Wszak milowymi krokami zbliżały się kolejne igrzyska. Po zapoznaniu się z ich programem musiała dokonać trudnego wyboru. Ze względu na fatalne rozłożenie eliminacji na 100, 200 i 400 m oboje z mężem-trenerem zdecydowali, że wystartuje tylko w tej ostatniej konkurencji.

W Montrealu zjawiło się sporo kandydatek do pierwszego miejsca. Tak dużo, że organizatorzy igrzysk zmuszeni zostali do wprowadzenia trzystopniowych eliminacji. Tylko najlepsze z najlepszych dostawały się do wąskiego finału. Zmartwienie państwa Szewińskich polegało na tym, że pani Irena nigdy dotąd tak często „czterystumetrówki" nie biegała. W obawie przed kontuzją potraktowali więc pierwsze eliminacyjne sita z wielką ostrożnością. Na mecie Polka zameldowała się na trzeciej pozycji. To wystarczyło do awansu. W kolejnej próbie była czwarta. Nie wtajemniczeni w sprawę kibice zaczęli już denerwować się i powątpiewać w możliwości zawodniczki. Ale ona wiedziała co robi; do półfinału awansowała przy minimalnym tylko wysiłku. W nim zajęła już pierwsze miejsce i z czasem, który zapowiadał wielkie emocje w ostatecznej rozgrywce. Zwłaszcza, że rywalki były również znakomite.

Finał. Tylko młodsza o 12 lat od Szewińskiej Christina Brehmer z NRD próbowała dotrzymać jej kroku. Ale daremnie. Polka po 200 m miała czas 23,1 sek., po 300 m 34,85 sek! Aż trudno uwierzyć, że tak szybko można biegać. Można. Nasza reprezentantka jeszcze przyspieszyła i wygrała z przewagą 10 m. Osiągnęła czas 49,29 sek., a więc ustanowiła dwa rekordy, igrzysk i świata. Startując w swojej czwartej olimpiadzie zdobyła siódmy medal. Historia sportu nie znała dotąd podobnego przykładu. Ten siódmy medal wręczył Szewińskiej osobiście lord Killanin, ówczesny przewodniczący Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Ze wzruszenia z trudem wymówił gratulacyjną formułę. **(zp)**

Ciąg dalszy nastąpi
Fot. **J. Szewiński**

Cała jestem – jak to się mówi – w skowronkach. Zawsze mnie taki nastrój gdzieś w połowie grudnia opanowuje, odkąd pamięcią sięgnę. Ulka się ze mnie lekko podśmiewa. Że jak dzieciak mały się zachowuję, bo gwiazdki i choinki nie mogę się doczekać. A ja się rzeczywiście doczekać nie mogę, bo naprawdę uwielbiam i gwiazdkę, i choinkę, i święta... Czyżby to świadczyć miało o moim... niedorozwinięciu? Nie wiem, śmiem wątpić.

To prawda, że są ludzie, np. Ulka do takich właśnie należy, którzy zawsze są opanowani i nie podniecają się byle czym. Dla Ulki kalendarz, to jest kalendarz. Jaka data przychodzi, taka ma być, normalny bieg rzeczy, siła wyższa. Raz jest niedziela a raz wtorek, Ulka nigdy nie widziała powodu do rozpaczy dlatego, że jest np. wtorek, czy do radości, bo jest np. akurat niedziela. Ulka uważa, że i tak człowiek w kalendarzu nic nie zmieni. I niby całkiem racjonalnie uważa. Ale dlaczego nie na miejscu ma być okazywanie swojego w stosunku do różnych dni uczucia?! Przecież jedne dni są w sumie sympatyczniejsze, a inne – mniej sympatyczne. To jakbym lubiła wszystkie jednakowo, byłoby to przecież nieprawdziwe, no nie?! Przynajmniej ja tak myślę.

Ulka uważa, że głupio myślę. Podejrzewam, że w sprawie gwiazdki ona mnie podejrzewa, że ja gwiazdkę tak bardzo lubię z powodu... prezentów. Hm, to może i byłoby dziecinne, ale czy godne nagany?! Nie wiem, nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałam, ale gotowa jestem przysięgę złożyć, że w tym momencie prezenty nie mają dla mnie najmniejszego znaczenia. To znaczy, owszem, lubię je bardzo – i dostawać, i sama kłaść pod choinką – ale nie prezenty są tym, dlaczego święta wprawiają mnie w taki radosny nastrój. Myślę, że ten nastrój bierze się ze... spokoju. W święta wszyscy mają dużo czasu i nikt się nie spieszy. A jak się nie spieszy, to jest od razu miły, łagodny, sympatyczny. Choćby skądinąd za złośnika nad złośnikami uchodził. A jak wszyscy są mili, to i ja jakby łagodnieję... I jestem taka, jaka zawsze chcę być, ale mi się nie udaje.

Może to i megalomania z mojej strony, ale uczciwie mówię – sama się sobie w święta podobam. I inni mi się podobają. Świat robi się taki... inny po prostu. Właśnie spokojny. I dopiero wtedy widać, jak kiepsko działa na charakter pośpiech. Więc jak się święta zbliżają ku końcowi, to sobie zawsze obiecuję, że postaram się już nie spieszyć, nie robić nic na łapu-capu, na łubu-du. Ale czy to jest w ogóle możliwe?! I czy potrzebne?! Święta by przecież wtedy straciły swój cały urok.

ANKA

JAŚ i MAŁGOSIA

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW
Redaguje LECH NOWICKI

Szukając baśniowego tematu do świątecznego wydania Świata Muzyki przypomniałem sobie, że 23 grudnia mija 87 rocznica prapremiery „Jasia i Małgosi" Engelberta Humperdincka. Tę baśń operową w trzech obrazach wystawiono po raz pierwszy w Weimarze, natomiast w Polsce miała swoją premierę w roku 1902. Pozwólcie, że przedstawię najpierw jej autora...

Engelbert Humperdinck, niemiecki kompozytor żyjący w latach 1854–1921, był cenionym i poważanym muzykiem. Otrzymał między innymi nagrody im. Mozarta i Mendelssohna. Najważniejsze bodaj w jego karierze było spotkanie z wielkim Ryszardem Wagnerem, którego został nawet współpracownikiem, gdy ten tworzył „Parsifala". Humperdinck poświęcił się ostatecznie pedagogice. Sławę przyniosła mu właśnie opera „Jaś i Małgosia"...

Historię Jasia i Małgosi na pewno znacie, ale spróbuję ją wam opowiedzieć według scenariusza Humperdincka. Oto bohaterowie: Piotr – miotlarz, Gertruda – jego żona, Jaś i Małgosia, czarownica, krasnoludek, aniołowie... Za górami, za lasami mieszkali w chatce pod lasem miotlarz Piotr z żoną Gertrudą oraz dziećmi – Jasiem i Małgosią. Dom nie był okazały, bieda chowała się po kątach... Pewnego razu pan Piotr poszedł na targ sprzedać zrobione przez siebie miotły, pani Gertruda też miała coś do załatwienia. Jaś i Małgosia mieli co robić, ale zapału do pracy starczyło na parę minut. Zaczęli myśleć o kolacji, śpiewać, tańczyć... Wróciła pani Gertruda i widząc rozbawione dzieci zganiła je za opieszałość, wręczyła wielki garnek i kazała iść do lasu po jagody. Dodała jeszcze: nie wracajcie do domu bez pełnego garnka jagód! Za chwilę żałowała już swej porywczości, ale... dzieci były już daleko. Wrócił pan Piotr, pytając najpierw o Jasia i Małgosię, potem ganiąc żonę za wysłanie dzieci do lasu, gdzie przecież mieszka zła Czarownica! Oboje wyruszyli na poszukiwania... Tak kończy się obraz pierwszy.

Obraz drugi otwiera świetnie zinstrumentowane, dowcipne intermezzo „Jazda czarownicy na miotle", po którym kurtyna idzie w górę... Widzimy Jasia i Małgosię wędrujących po lesie, niosących pełen garnek jagód. Interesują ich ptaki, drzewa i zwierzęta. Zaczynają odczuwać zmęczenie. Siadają więc pod drzewem i... zjadają wszystkie jagody. Jest już późno, zapada zmrok, nie widać ścieżki prowadzącej do domu. Postanawiają zostać w lesie na noc... Nie dostrzegają krasnoludka w czerwonej czapeczce, który sypie im piasek na powieki. Zasypiają w towarzystwie aniołów...

Obraz trzeci, poranek... Krasnoludek budzi Jasia i Małgosię, którzy widzą przed sobą piękny domek z piernika i czekolady. Postanawiają spróbować słodyczy, podchodzą cichutko i... wpadają w ręce Czarownicy, najpierw Jaś, potem Małgosia. Sprytna dziewczynka wabi straszną Czarownicę do pieca, gdzie ta wkrótce spłonie... Dzieci są wolne, ale muszą jeszcze znaleźć tablicę z zaklęciami, żeby odczarować zamienionych w pierniki kolegów i koleżanki. Weseli, szczęśliwi wychodzą... w objęcia rodziców.

Jak każda baśń, i ta kończy się dobrze, dobro triumfuje nad złem, spełniają się życzenia, wraca ogólna radość. Humperdinck skomponował początkowo małą, domową operę dla dzieci. Dopiero później zamienił ją na wielkie przedstawienie teatralne. „Jasia i Małgosię" mają w swoich repertuarach największe teatry operowe świata, także nasz Teatr Wielki, gdzie w czasie przerw sprzedaje się pierniki z chatki Baby Jagi.

SZANOWNY ŚWIĘTY MIKOŁAJU!

Świat Muzyki zwraca się do Ciebie z prośbą o doręczenie czytelnikom tej rubryki następujących płyt i kaset:

1. JAK TO JEST Z LEGENDAMI? Na stronie pierwszej tej kasety znajdą dzieci legendę o syrence i syrenach, na drugiej o warszawskim bazyliszku w interpretacji znanych aktorów, między innymi Magdaleny Zawadzkiej, Józefa Nowaka, Stanisławy Celińskiej i Kazimierza Wichniarza z muzyką Piotra Mossa i Zbigniewa Rudzińskiego.

2. LEŚNY RAJD. Jerzego Dąbrowskiego dwie zabawne bajeczki z wilkiem, zającem, lisem, kotem, wroną, krową, ślimakiem, sową w rolach głównych, wyreżyserowane przez Ewę Złotowską, czyli... Pszczółkę Maję. „Leśny rajd" to tytuł kasety i albumu dwupłytowego.

3. WIECZÓR WIGILIJNY. Cztery piosenki – „Wieczór wigilijny", „Prośba do chmury", „Spotkanie z choinką", „Nie dla pingwina ciepła pierzyna" w wykonaniu Chóru Dziecięcego pod dyrekcją Romualda Miazgi.

4. NEOTON FAMILIA. Dwa utwory dyskotekowe popularnej grupy węgierskiej, przedstawianej niedawno w programie telewizyjnym.

5. DRUPI I HANA ZAGOROVA. Włosko-czechosłowacki duet śpiewa „Setkani", Zagorova po czesku, Drupi po włosku, dlatego ta piosenka ma jeszcze jeden tytuł „In contro".

6. VOX. Ulubieńcy połowy Polski nagrali dwa przeboje „I'd Never Give It Up" oraz „In Your Eyes I Can See Two Skies", czyli po prostu „Bananowy Song" i „Masz w oczach dwa nieba" w wersji angielskiej. Eksportowa płyta brzmi równie dobrze jak krajowa.

7. FRYDERYK CHOPIN. Dwupłytowy album, a w nim Polonez As-dur, Mazurek cis-moll i Etiuda As -dur w interpretacji Piotra Paleczného oraz Walc cis -moll, Mazurek a -moll, Nokturn cis -moll i Etiuda c -moll w wykonaniu Janusza Olejniczaka.

Płyty powinny się znaleźć pod choinkami najpóźniej o godz. 19.00. Proszę nie zapomnieć o ozdobnym opakowaniu i świątecznych życzeniach...

Jak w piosence

SIEROSZEWICE (HSI). Gminny Hufiec ZHP Sieroszewice (woj. kaliskie) nie należy bynajmniej do największych w kraju – skupia zaledwie ok. 500 zuchów, harcerzy i instruktorów, a bywają przecież wielkomiejskie szczepy liczące więcej członków. Nie w każdym jednak szczepie wszyscy się tak dobrze znają, tak wzajemnie się lubią i sobie pomagają, jak dzieje się to w tym właśnie hufcu. A przecież kontakty między poszczególnymi drużynami hufca nie są sprawą najprostszą – jedna wieś od drugiej położona jest o kilka kilometrów, nie zawsze najlepiej funkcjonuje komunikacja, wsi (i szkół, a tym samym drużyn) jest w tej gminie sporo. Okazuje się jednak, że i w tych nie nazbyt sprzyjających warunkach można nawiązać taką współpracę między drużynami, że... niektóre szczepy mogłyby Hufcowi Sieroszewice pozazdrościć. Jeśli bowiem rzeczywiście rzadko mogą spotkać się wszyscy harcerze, to spotkania instruktorskie zależą przede wszystkim od chęci. A ponieważ tych gronu instruktorskiemu sieroszewickiego hufca nie brakuje, więc spotykają się często. Jest to zawsze okazja do porozmawiania o pracy swych drużyn, do pochwalenia się osiągnięciami, do poradzenia sobie wzajemnie w kłopotach i trudnościach, do umówienia się na biwak czy wycieczkę dwóch drużyn z sąsiadujących ze sobą wsi. Do pośpiewania wreszcie czy powspominania wspólnie przeżytych obozów – na spotkaniach instruktorskich Hufca ZHP Sieroszewice panuje wspaniała atmosfera, zawsze jest, choćby najmniejszy, kominek i gawęda druhny komendantki. Wśród wielu takich spotkań największą tradycją obrosły tzw. Spotkania Jesienne. Odbywają się zawsze pod koniec listopada, za każdym razem ich gospodarzem jest inna drużyna.

Ostatnie, szóste już z kolei, odbyły się 25 listopada br. w Szkole Podstawowej w Rososzycy. Miejscowa drużyna przygotowała piękne nastrojowe dekoracje i wystąpiła z prawie godzinnym koncertem, na który złożyły się wiersze, piosenki, tańce ludowe oraz występy zuchów poprzebieranych za różne postacie z bajek, książek i filmów dla dzieci. Była wśród nich piegowata Pippi ze sterczącymi na boki warkoczykami, zabawny Miś Puchatek, wesoła Pszczółka Maja i inni. Gdy zuchy i harcerze rozeszli się już do domów, instruktorzy Hufca Sieroszewice przyjęli do swego kręgu trzy młode instruktorki, które wobec starszych kolegów złożyły Zobowiązanie Instruktorskie. W tej chwili prowadzą już drużyny. Samodzielnie, ale nie samotnie. Bo w tym hufcu nikt nigdy nie jest samotny. Bo u nich jest jak w piosence – harcerze, to jedna rodzina. **(ek)**

Zadanie premiowane nr 315

ROZETA TRZYLITEROWA

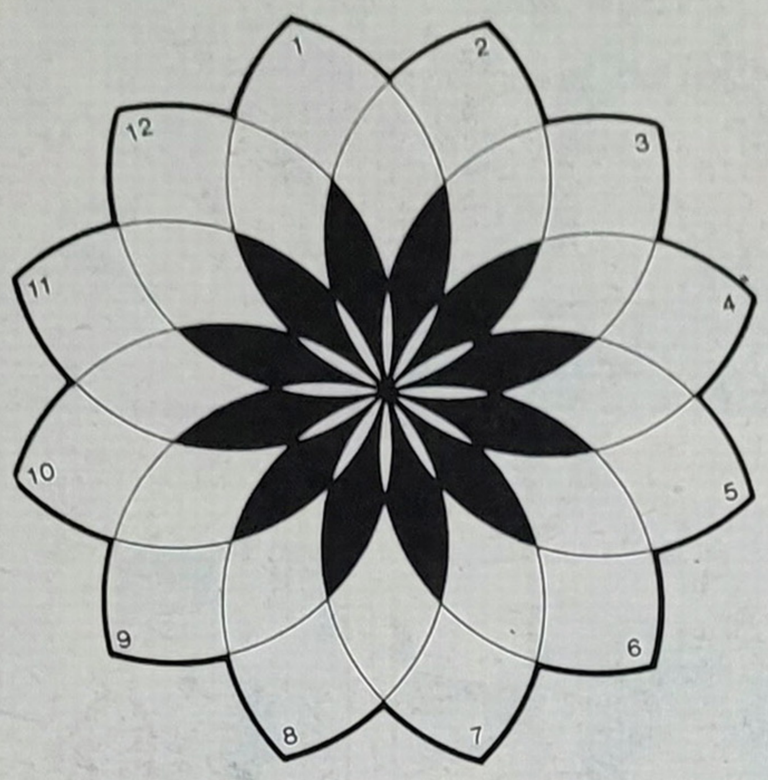

Odgadnij wyrazy 6-literowe o podanych znaczeniach i wpisz je do diagramu tak, aby w każdym polu znalazły się trzy litery. Rozwiązanie napisz na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: ,,Świat Młodych'', Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, ,,Zadanie premiowane nr 315''.

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

PRAWOSKRĘTNIE: 1) nikczemnik, niegodziwiec, 2) dobytek, 3) pomyślna okoliczność, okazja, 4) melodia wygrywana przez zegar (kojarzy się z arią ze ,,Strasznego dworu''), 5) obrzędowe nakrycie głowy biskupa, 6) pewien obszar kraju, odznaczający się swoistymi cechami (np. podhalański), 7) bywa złota polska, 8) sprzęt operatora filmowego, 9) współczucie, 10) kombinat cementowo-wapienniczy koło Kielc, gazeta rzeszowska lub nowe wiadomości, 11) składa się z głowy i ogona, pokazuje się na niebie, 12) zbójecka napaść.

LEWOSKRĘTNIE: 1) opanowanie cudzych terytoriów, 2) miasto nad Wisłoką, 3) muzykowanie lub ostre grzbiety gór, 4) krótkie okrycie wierzchnie, 5) w dawnej Hiszpanii: następca tronu, 6) nie ma jej bez wyjątku, 7) drzewo liściaste, 8) milowy, węgielny lub młyński, 9) np. Z, 10) świeżo wydana książka, 11) fabryczne – dymią, 12) trzyliterową właśnie rozwiązujesz.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 311 ZE 136 NUMERU ,,ŚWIATA MŁODYCH'' Z DNIA 22.11.1980 R

Prawidłowe rozwiązanie: pytanie, botanik, borowik, zdrowie, zdjęcie, pojęcie, Polanie, kolanka, korówka, parówka, pałatka, sałatka, sasanka, pisanka, pisarka, kasarek, karczek, karczma.

Nagrody wylosowali:
Joanna Hładun – Chmielów, Agnieszka Iwanucha – Warszawa, Grzegorz Julke – Gdynia-Witomino, Mariusz Kowalik – Radzyń Podlaski, Robert Leszczyński – Wrocław, Tadeusz Nowacki – Lubzina, Wojciech Siwoń – Ostrowiec, Paweł Strugalski – Sandomierz, Małgorzata Topolewska – Rogoźno, Jacek Wajcht – Zamość.

ZADANIE-BŁYSKAWICA

Pewna osiemnastoletnia dziewczyna zapytała swą starszą znajomą, ile ta ma lat. Zapytana odparła: ,,Mam dwa razy tyle, ile ty miałaś, gdy ja miałam tyle, ile masz w tej chwili''. Ile lat ma starsza znajoma?

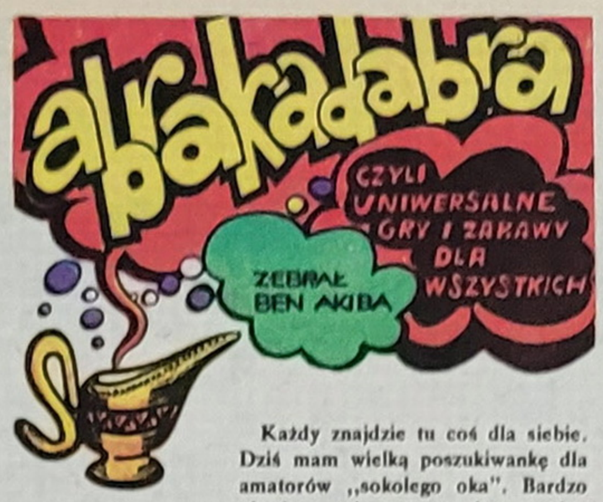

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dziś mam wielką poszukiwankę dla amatorów ,,sokolego oka''. Bardzo niewinne, ale wystarczająco trudne jest zadanie-błyskawica, w którym nie użyłem ani jednej cyfry. Następne wydanie Abrakadabry będzie świąteczne – z choinką i bałwanem. Do zobaczenia!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

Próba sokolego oka

Jeśli jesteś bystry, w ciągu pięciu minut odpowiesz, ile i które z przedmiotów z pierwszego obrazka u góry po lewej powtarzają się na wszystkich pozostałych obrazkach. Start!

Odpowiedzi z poprzedniej soboty:

Siedem kart: rozwiązanie poniżej na planszy. **Szesnaście zapałek:** patrz rysunek. **Trójkąt liczbowy:** na rysunku jedno z możliwych rozwiązań.

1	2	3	4	5	6	7
6	7	1	2	3	4	5
4	5	6	7	1	2	3
2	3	4	5	6	7	1
7	1	2	3	4	5	6
5	6	7	1	2	3	4
3	4	5	6	7	1	2

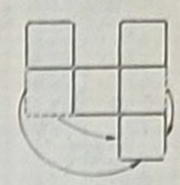

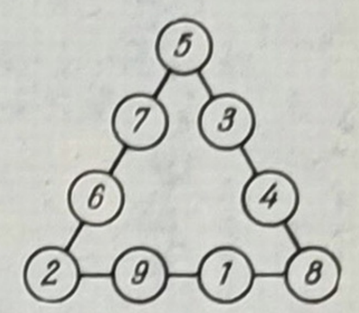

42 PUNKTY

Spośród tej pozornie bezładnej masy kropek i liczb wyłoni Ci się pewna egzotyczna dama. Musisz tylko starannie połączyć długopisem kolejne punkty od 1 do 42.

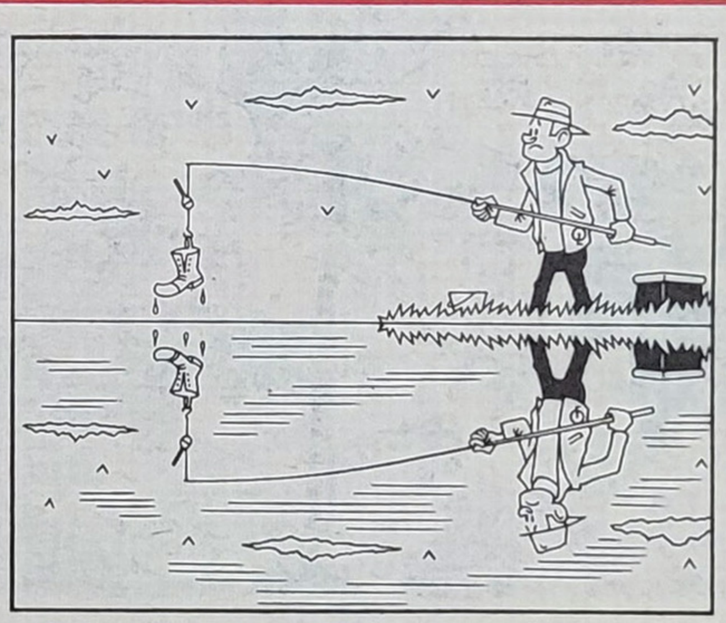

Jak w zwierciadle

Ten niefortunny wędkarz odbija się w wodzie, jak w zwierciadle, chociaż zwierciadło to kłamie. Bo między górną połową obrazka – oryginałem, a dolną – odbiciem istnieje aż dziesięć wyraźnych, zauważalnych różnic. Spróbuj je jak najszybciej odnaleźć.

Nie zapalała światła, bo przez ciemnoniebieskie szybki, osadzone w ciężkich drzwiach wejściowych, przenikały jeszcze resztki dnia. Po mrocznych schodkach weszła na podest przed drzwiami swego mieszkania. Już łowiła uchem dudniące wrzaski Nutrii, która zapewne teraz, siedząc w wannie, wyśpiewywała swoje ulubione piosenki, już miała nacisnąć dzwonek, kiedy nagle spostrzegła, że ma w ręce Krzysiowego ,,Robin Hooda''. Jakim cudem go zabrała? – Zwykłe roztargnienie. Niewiele myśląc zawróciła i pobiegła z powrotem – Krzysio chyba nie uszedł zbyt daleko.

* * *

Nie uszedł, rzeczywiście. Stał wciąż pod bramą i gęsto się tłumaczył przed rozgniewaną Paulinką. Ida ujrzała tę scenę wyraźnie, bo wahadłowe drzwi bramy były uchylone.

– ...i daję ci słowo, że nikt się tu w nikim nie kocha – mówił właśnie Krzysztof.

– Wiem, co widzę – przerwała mu kłótliwie Paulinka. A widzę was razem. Zbyt często.

– Daj spokój, Paulina. Po pierwsze, to takie biedne zakompleksione stworzenie. Gdyby ona wiedziała, jak ty jej nie lubisz...

– Dobrze, dobrze. A po drugie?

– A po drugie, to właściwie jakim prawem ty właśnie robisz mi sceny?

– Ja ci, Krzysiu, nie robię scen. Ja bym tylko chciała się dowiedzieć, co cię łączy z tą ryżą smarkulą.

– Nic cię to nie obchodzi! – zdenerwował się nagle Krzysio i zamachał rękami. – I do widzenia, złotko! I przestań mnie zamęczać! I uważaj, żebym ja ci nie przypomniał naszego wspólnego przyjaciela!

– Krzysztof!

– No co?! – Krzysio tupnął nogą, wsadził ręce w kieszenie i odwróciwszy się gwałtownie, poszedł szybko przed siebie.

Ida ujrzała jeszcze, jak Paulina, po krótkim wahaniu, idzie za nim – a potem nie widziała już nic, bo łzy zamazały jej obraz świata. Usiadła tam, gdzie stała, na schodku, rozbeczała się na dobre.

Ryża smarkula.

Biedne, zakompleksione stworzenie. (Czyż można usłyszeć określenie bardziej upokarzające!?).

,,Nigdy już nie potrafię z nim normalnie rozmawiać'' – pomyślała Ida z rozpaczą. – ,,Nigdy już nie będę pewna siebie''.

Ciche łzy wciąż spływały po jej policzkach. W bramie było chłodno, ciemno i ponuro. Takie same mroki panowały i w duszy Idy Borejko.

Żeby chociaż mogła się pogniewać na Krzysia czy Paulinę. Ale nie mogła. Wszystko, co mówili, było szczerą prawdą. Pech polegał na tym, że Ida usłyszała to, czego usłyszeć nie powinna. Nikt chyba nie miałby przyjaciół, gdyby słyszał, co oni mówią za jego plecami. Ci nawet nie mówili niczego specjalnie złośliwego. Po prostu konstatowali fakty. Tak, fakty.

Biedne, zakompleksione stworzenie. Oto kim jest Ida Borejko. Oto, jak ją widzą osoby postronne.

Ida zmarzła. Ale w takim stanie wrócić do domu nie mogła. Dopiero by się zaczęło wypytywanie, pocieszanie, dobre rady i kpinki. No i to zwykłe, stereotypowe: ,,Nie jesteś przecież taka brzydka''.

Wyszła na ciepłą, mroczniejącą ulicę. Deszcz już nie kropił, niebieski zmierzch trochę zgęstniał. Była dziewiąta. Ida postanowiła przejść się trochę dla odzyskania spokoju.

Gdybyż to miała jakąś przyjaciółkę. Jakąś bliską duszę, do której zapukałaby teraz, żeby wygadać się i wypłakać. Ale nie. Nikogo.

No, tak.

Nawet nie miała dokąd pójść.

Biedne, nikomu niepotrzebne, ryże, zakompleksione stworzenie.

Ach, czyż doprawdy mógł być dziś w tym mieście ktoś jeszcze bardziej nieszczęśliwy?

Wzdychając raz po raz i hamując łkanie, Ida wlokła się w dół ulicą Roosevelta. Później nigdy nie mogła dociec, czy to przeczucie, czy podświadomość, czy też zwykły przypadek skierował jej kroki w stronę ulicy Jeżcykiej. Kiedy zorientowała się, że jest na osiedlu wieżowców, więcej, że stoi pod blokiem, i zagląda w oświetlone okno, skłonna była przypuszczać, że skierował ją tu Anioł Stróż braci Lisieckich.

Ujrzała bowiem małego Lisieckiego, który siedział na wersalce zielonkawy na twarzy, trzymając się kurczowo za brzuch. Jarek schylał się nad nim, przytrzymując przed twarzą braciszka niewielką emaliowaną miskę.

Poza nimi, oczywiście nikogo w pokoju nie było.

Cdn.

30

TYTUS, Romek i A'TOMEK

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556
UKAZUJEMY SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, Teresa Maciszewska, Jerzy Majka (redaktor naczelny), Krzysztof Masłoń, Krzysztof Potrzebnicki, Zdzisław Przybyłowski, Ryszard Ratajczyk, Barbara Skórska, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.)
TELEFONY
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEKS 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBPXV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.
Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska
Zam. 7930/G O-43
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Małgorzata Musierowicz 34

IDA SIERPNIOWA

— Brrr – powiedziała Ida. – Ty wiesz, co to będą za dorośli? Popatrzeli po sobie i zaśmiali się jednocześnie.

– Nie, ale poważnie – ciągnął Krzysztof. – Kim oni będą?

– Minimalistami – oświadczyła Ida.

– Jeżeli nie będą mieli rozbudzonej wyobraźni, to nie potrafią nawet porządnie – zbić budy dla psa. A co dopiero zaprojektować most albo osiedle. Czarno widzę przed sobą, Iduś.

– Zdaje się, Krzysiu, że zaczyna się ci rysować jakiś wielki plan. To ja się przyłączę. Grupa ESD ostatnio powzięła uchwałę, że należy opracować program pomocy dla zaniedbanych dzieci.

– Grupa ESD mnie nie chce. Jeżeli będę coś robił to niezależnie od tych przemądrzalców.

– Utworzymy, Krzysiu, Frakcję.

– O, ładnie. Frakcja Szwungszajba.

– Nie, lepiej będzie bez germanizmów, kolego. Frakcja Koło Zamachowe.

– Brawo!

– Na początek zajmiemy się Lisieckimi. A potem, zobaczysz, co będzie.

– Potem, Iduś, będzie rok szkolny.

– No to co. Trzy godziny nauki, a potem łobuzują po krzakach.

– Miałem na myśli nas. My też idziemy do szkółki.

– No trudno, Krzysiu. Odpowiedzialność za przyszłe społeczeństwo wymaga poświęceń. Możesz raz czy drugi nie iść do kina. Czas musi się znaleźć.

Wyszli z Krasińskiego i skręcili w ulicę Roosevelta.

– O, cześć! – powiedziała nagle Paulina, która wpadła na nich jakby przypadkiem, w każdym razie wyglądała na prawdziwie zaskoczoną.

– Cześć – stropili się Ida i Krzysztof – każde z innego powodu.

– Co tu robicie? – niepewnie uśmiechnęła się piękność, jaśniejąc w łagodnym zmierzchu zębami, lokami i białą sukienką. Krzyś zapatrzył się na nią, sam nawet nie wiedząc, co ma wypisane na twarzy.

– Wracam do domu po pracy – wyjaśniła Ida skrupulatnie. – Krzyś mnie odprowadzał, dosyć zresztą bezsensownie, bo mieszkam, tuż obok. No, ale teraz pójdę już sama – miało to zabrzmieć pogodnie, lecz nie zabrzmiało. Musiała być chyba w jej głosie jakaś gorycz, bo nagle Krzysio z miną winowajcy oświadczył, że odprowadzi Idę pod drzwi.

– Pójdę z wami – Paulina na to. – Nie mam akurat nic do roboty. Wyszłam sobie na spacerek.

Następnych kilkanaście metrów przebyła Ida z takim trudem, jakby stąpała boso po tłuczonym szkle. Pomiędzy nimi trojgiem zawisło napięcie i było to tak dla wszystkich męczące, że mieli ochotę albo rozstać się natychmiast albo pobiec galopem do tej Idusiowej bramy, żeby już wreszcie ta męka się skończyła. Ale nie skończyła się, nawet kiedy zamajaczyła przed nimi czarna czeluść wejścia do kamienicy numer pięć. Teraz żadne z nich nie chciało okazać, że zmęczone jest tą sytuacją. Paulina szybko zapytała, o czym tak zapalczywie gadali, gdy na nich wpadła i Krzysio zaczął mętnie coś wyjaśniać, pomagając sobie rozpaczliwie gestami. Lecz informacja, że założyli właśnie z Idą dwuosobową frakcję pod nazwą Koło Zamachowe, nie powiedziała Paulinie nic, a wyłącznie rozbudziła w niej określenie podejrzenia.

– Czy ja też mogłabym należeć do tej frakcji? – domagała się odpowiedzi.

– W zasadzie tak – odparł Krzysio niepewnie. – Co myślisz, Ida?

– Ja nic nie myślę – odpowiedziała słabo panna Borejko. – Chciałabym już pójść do domu. Cześć. Przemyślcie sobie sprawę frakcji, ale już beze mnie.

– No, to cześć, stara – zgodził się Krzyś.

– Cześć, kochanie – pomachała ręką Paulina.

Ida weszła do bramy, z ulgą czując chłodny powiew na rozpalonej twarzy.

Dokończenie na str. 7